

Czy Odilo Globocnik otrul się w Karyntii?

str. 3, 8

HOROSKOP

str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 4 (902)

21 lutego 1988

Cena 20 zł



Rys. J. Witkowski

Amerykanka w Lublinie

Wiesław Horabik

Gwoli ścisłości tytuł powinien brzmieć „Australijka w Lublinie”, jako że rzecz dotyczy jednej z dziennikarek australijskich współpracujących z amerykańską prasą, której miałem okazję towarzyszyć w jej dwudniowym pobycie w naszym mieście (dziennikarce oczywiście). Dobrze się stało, że dostałem znów szansę podpatrzenia naszych obyczajów jakby z innego kąta, przez pryzmat kogoś nowego, dla kogo szara rzeczywistość wciąż wygląda szaro, brud jest brudem, a arogancja — arogancją. Dla nas samych bowiem wiele już rzeczy niezwykłych nabrało posmaku zwyczajności, wiele anomalii jawi się jako norma. To jakby prawo życia i prawda o sile przystosowania się. Nie uważam wszakże, by z takimi nawykami nie trzeba było walczyć i by zaraz dać się podeptać. Ale od początku.

NAJPIERW był więc najlepszy hotel w mieście. Pokój, jak to pokój, wedle nakreślonych standardów, ale już próba poinformowania się o rozkładzie jazdy pociągów przysporzyła mojemu gościowi całej masy obserwacji socjologiczno-ekonomicznych. Recepcjonistka rzuciła opryskliwie przybliżony termin odjazdu, a naciskana o szczegóły, z nieskrywaną niechęcią przewertowała grubą księgę, by wydukać na koniec żądaną informację. Zapytana, dlaczego nie grzeszy uprzejmością, odparła: „Jestem w ciąży (to było widać) i nie powinnam pracować. Ale pracować muszę. Nie będę jednak uprzejma. Jeśli pani zarabia dwa tysiące dolarów miesięcznie, to może się pani uśmiechać cały czas. Mnie natomiast wcale nie do śmiechu”.

Było w tej wypowiedzi tyleż szczerości, co i pokrętnej logiki. Kiedy próbowałem potem prześledzić tok rozumowania tej dziewczyny, jedyny kalambur, jaki mi wychodził, brzmiał: Słusznie. Uprzejmi powinni być tylko bogacze. Uprzejmość jest bowiem luksusem, a za luksus są wymierzane specjalne podatki. Biedni powinni zaś być szczególnie nieuprzejmi dla bogatych; bowiem to bogaci są wszystkim winni. Gdyby nie oni, nie byłoby przecież biednych; jak bowiem odróżnić w niebie dobro od zła.

Potem były już tylko „nocne Polaków rozmowy”, pełne zwykłych treści „olbrzymich” i koncepcji na odnowę świata. (Mój gość przybył do Lublina późnym popołudniem). Nie wiem, jak osadzić

Dokończenie na str. 4



Józef Czechowicz w 1920 roku, prawdopodobnie przed pójściem do wojska. Fotografia ze zbiorów Muzeum im. J. Czechowicza w Lublinie. Repr. Przemysław Ostrzyżek

Z dziejów żołnierskich Czechowicza — str. 6—7, 8

Bezdomni bez nadziei?

Ewa Chodkowska

WELENA Augustynowicz z Lublina ma 64 lata. Od wielu lat czeka na mieszkanie. Bytując — na nie kończące się tymczasem — w starym, walącym się domu, gdzie nie ma żadnych urządzeń sanitarnych, a nawet ogrzewania. Ziemiańscy zamarzają jej podobno w mieszkaniu. Chciałaby chociaż rok przeżyć w normalnych warunkach, umyć się w łazience. Ale znając wydłużające się stale okresy wyczekiwania, zwątpiła już prawie, że zdąży jeszcze tego doczekać. Zresztą nie wie, czy z dwunastotygodniowej emerytury byłoby ją stać na opłacenie czynszu, jaki obowiązuje w nowym budownictwie. Mieszkanie! Zwyczajne M-ileś tam —

marzenie, okazuje się, nie na ludzką miarę...

Troje młodych ludzi z Wrocławskiego rozmawia ścisłymi głosami:

— Zobaczycie, nie z tego wszystkiego nie wynika, szkoda naszego czasu. Hasła takie, jak zawsze: „Nie chcemy emigrować — chcemy budować”, „Bez mieszkania nie ma rodziny i wychowania”.

— Nie przesadzajcie. Co niby miałyby wynikać? Chyba nie liczycie, że jutro dostaniemy wszystkie mieszkania.

Nie wiedzieli pewnie, że były tu jeszcze inne hasła. Plotka kulturalowa doniosła, że podszyty nieco demagogią napisał — „Nie można budować

socjalizmu bez dachu nad głową” — zdjęto w przeddzień zjazdu.

Człowiek nie ma mieszkania. Czy jest w tym stwierdzeniu coś nadzwyczajnego? Przeciwnie. To codzienna „strawa” tysięcy ludzi. Zwyczajna, jak przysłowiowy chleb z masłem. I tak tę sprawę w Polsce się traktuje. Minister Bogumił Ferenczajt stwierdza autorytatywnie i przekonująco, że nie ma przecież w Polsce ludzi, którzy śpią pod mostem, bezdomnych. Można najwyższej mówić o ludziach bez samodzielnych mieszkań. Bezdomni? To by się oczywiście nie zgadzało ani z hasłami, ani w ogóle z niczym. Stąd pospiesznie wniesiono poprawkę do nazwy warszawskiego spotkania ludzi bez mieszkań (16 stycznia w sali ZNP w Warszawie), które miało się pierwotnie nazywać Zjazdem Ludzi Bezdomnych.

Minister, niestety, nie tłumaczył się nazbyt jasno, co znaczy dlań pojęcie „ludzie bez samodzielnych mieszkań”. Pewnie to tacy, którzy w ogóle mają gdzie mieszkać, na głowę im nie

Dokończenie na str. 5

z notatnika

29 I. I znów kolejna Jednodniówka „Merkurysza Łęczyńskiego”, wydana staraniem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łęczyńskiej. Szczególnie zainteresowały mnie dwie rozmowy: Ewy Leśniewskiej z Haliną Anną Wielowiejską, ostatnią właścicielką dóbr łęczyńskich, oraz Czesława Bresla i Eugeniusza Miślewicza z dr. inż. Antonim Lecheta, dyrektorem Lubelskiego Gwarectwa Węglowego w Bogdanie. Odnosząc słowa dyrektora: „na te Śląska nasza sytuacja mieszkaniowa jest bardziej korzystna. Corocznie uzyskujemy ok. 400 mieszkań. Jest to i będzie skutkiem do chwili uzyskania pełnej wydolności kopalni. Bo z tempa budowy mieszkań nie zrezygnujemy. [...] ogromne koszty, które pochłania budowa kopalni, znacznie więcej niż planowano to uprzednio. Szybciej wydaję — a wolniej osiągamy efekty. Ten fakt zmusza mnie do poszukiwania funduszy, konferowania i wykonywania karkołomnych operacji prawno-finansowych. [...] Najmilej zaskoczył mnie fakt, że trudności zaciągowe i naturalne zostały aż w tak dużym stopniu opanowane przez załogę i kadrę. Natomiast załogi infrastrukturalne były dla mnie nieomalym zaskoczeniem. Z kłopotami sportowców na czele. Nie wyobrażałem sobie, aby „Górniki” Łęczyńska — walczącej przecież o II ligę — był bez własnego stadionu i zaplecza...”

Będzie więc prawdziwe nieszczerście — dodam żartobliwie — jeśli „Górniki” z Łęczyńskiej do tej II ligi wejdzie, ale, jak znam życie, piłkarze jakos sobie poradzą...

Ten tekst nie zmieścił mi się w poprzednim notatniku — dopisuję 13 lutego, kiedy, jak mi się wydaje, problem „Górnika” Łęczyńska mocno zbliża do ostatnim wystąpieniu sejmowym premiera Zbigniewa Messnera, który poinformował posłów o wstrzymaniu budowy Kopalni Węgla Kamiennego „Stefanów” w Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Przedtem A Szpilewicz na łamach „Życia Gospodarczego” wypowiedział się bardzo ostro: „Efektem pogoni za Lubelskim węglem są miliardy utopione w błocie, wyludniająca się wieś, stopniowanie najżyźniejszych gleb i widmo nieuchronnej środowiskowej katastrofy regionu”.

Pozostawiam temat fachowcom, ale chciałbym mimo to przypomnieć, że na temat Lubelskiego węgla powstało już kilkanaście powieści, stanowiących pion specjalnego konkursu. Czy również miliony utopione w papierze?

Zartyżarławi, tymczasem sygnalizując ukazanie się na rynku księgarskim zbioru poetyckiego Marka Daniłkiewicza, urodzonego w 1958 r. w Lubartowie, absolwenta teologii na KUL-u. Tytuł zbioru: „Nie ma miejsca dla przyjeźdźców”. Moja najkrótsza „recenzja”: to się czyta! Panie Marku, mój kmienniku, bądź jeszcze z Pana ludzie. Proszę tylko nie słuchać śmiesznych rad: pozostań Pan sobą!

2 II. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego, Zarząd Fundacji im. Marii Bechzy-Rudnickiej, Lubelskie oddziały związków: Artystów Seen Polskich, Literatów Polskich oraz Zarząd Okręgu Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL zaprosiły mnie na „Wieczór pamięci Marii Bechzy-Rudnickiej w 100 rocznicę urodzin”. Wymieniłem wszystkich organizatorów „Wieczoru”, bowiem wśród nich zabrakło...

sedakeji „Kamień”, którą p. Maria, bądź co bądź, przez kilka lat prowadziła. Nikt się do nas w tej sprawie nie zwracał, mimo że Maria Bechzy-Rudnicka niemal do ostatnich dni swego życia z „Kamieniem” współpracowała, dzięki czemu jej recenzje mogły później ukazać się również w wydaniach książkowych. To „zapomnienie” (nie jedyne zresztą) może tylko śmieszyć. Czyżby niektórzy nie mogli do dziś zapomnieć felietonu Lidii Wójcik, która Lublin nazwała w „Kamieniu” „wielkim grajdołem”? Lidia Wójcik przeniosła się do Warszawy, dlatego nie kandydowała do nagrody Fundacji im. Marii Bechzy-Rudnickiej, utworzonej z drobnych oszczędności, które pisarka pozostawiła po swej śmierci. Na placu „boju” pozostał więc właściwie tylko Franciszek Piątkowski, który, przemawiając na „Wieczorze”, podziękował m.in. i mnie za to, że mu poradziłem kiedyś na łamach „Kamienia”, by nie pisał tak, jak przed Grudniem (81), co go zainspirowało do zajęcia się krytyką teatralną. Odpowiedziałem Piątkowskiemu, że takich „rad” nie musiałem udzielać p. Marii. Erowacja, noc — kłania się Józef Czechowicz...

Sam „Wieczór” przebiegał dość osobliwie. Aktorzy odczytali fragmenty jej recenzji teatralnych, a także nie opublikowane opowiadanie z lat trzydziestych, usłyszyliśmy utwóriony na tamte glos p. Marii, a później zaczęła się ta część, którą w programie nazwano „wspomnieniami przyjaciół”. Chronię mnie, wszyscy święci, od przyjaciół — chciałoby się zawołać. Nie wiem, czy za życia p. Maria spotkała się z taką krytyką... Nie pozostało mi nic innego, jak również przypomnieć, że przejęcie przez nią całkowitego kierownictwa „Kamienia” po moim ojcu, KAJ-u, wcale nie przebiegało bezkonfliktowo. Ojciec tak się czuł urażony, że kiedy w numerze jubileuszowym z okazji 30-lecia powstania pisma ukazał się fragment jego wspomnień (zamieszczony bez wiedzy autora) publicznie przeciwko temu na łamach „Sztandaru Ludu” zaprotestował. Po latach, nie bez mojego udziału, doszło do pojednania ojca z p. Marią, ale to już zupełnie inna historia. Wspominam ów fakt, aby ułatwić zadanie tym, którzy w przyszłości będą analizować kulisy życia literackiego Lublina z drugiej połowy dwudziestego wieku i sięgną po stare roczniki „Kamienia”...

3 II. „Życie Warszawy” wydało przed kilkoma dniami wkładkę zatytułowaną „Kultura i Życie”. Inicjatywa cenna, chcę tylko przypomnieć, że przez kilkanaście lat tak właśnie „Sztandar Ludu” nazywał swój sobotni dodatek. Obecnie w „Magazynie Tygodniowym Szt. L.” identyczny tytuł nosi 9 strona. Zbiżność może przypadkowa, ale język polski jest przecież tak bogaty...

11 II. Czytam w prasie, że redakcja „Słowa Podlasia” w Białej Podlaskiej oraz Towarzystwo Przyjaciół Prasy, Radia i Telewizji w Lublinie organizują konkurs na reportaż „Podlasie przemiany”. Jest podana tematyka, nazwisko przewodniczącego jury oraz wysokość nagród. W zakończeniu notki słowa (Podlasia): „Nagrodzone i wyróżnione reportaże zamieszczone zostaną na łamach tygodnika »Słowa Pod-

lasia». Nie przewiduje się jednak dodatkowej wypłaty honorariów autorów”.

Jako członek Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Prasy (etc.) muszę publicznie zaprotestować. Na posiedzeniu zarządu postanowiliśmy jednogłośnie, że nie będziemy wspierać finansowo konkursu, jeśli tygodnik nie ma zamiaru wypłacać honorariów. Najwidoczniej prasowy anons wyprzedził tę decyzję...

A swoją drogą godna podziwu jest troska kierownictwa redakcji o to, aby jak najwięcej forsy zatrzymać dla własnego zespołu (zrozumiałe, że jeśli nie zapłaci się jednemu, to doda drugiemu...). Zwłaszcza, że na łamach pisma ukazują się wprost rewelacyjne teksty! Oto artykuł (?) p. RG pt. „Radziń pod lupą Egzekutywy KW”. Zaczyna się tak: „Radzińska organizacja partyjna, licząca 1964 członków i kandydatów oraz 79 POP zajmuje pod względem liczebności drugie, oczywiście po Białej, miejsce w województwie. Pod względem ilości przyjętych w ub. r. kandydatów jest na pierwszym miejscu. W innych statystycznych, odnoszących się do funkcjonowania partii już tak nie bryluje, ale też nie odstaje od czołówki”. Dalej wiele informacji, wyjętych — jak przypuszczam — z odpowiedniego sprawozdania, i takie zdanie: „Organizacja partyjna jako całość może mówić o sporej prężności, co nie znaczy, że wszystkie problemy zostały rozwiązane i podjęte do realizacji”. Z wprowadzeniem można by autorowi tego tekstu, jakby żywcem przepisane z gazety ukazującej się w 1951 czy 1952 r., dedykować zamieszczoną w tymże samym numerze „Słowa Podlasia” fraszkę Józefa Hilarowicza: „Smutne losy są koleje, gdy przy głozie wodoleje...”

Z Białej Podlaskiej do Łonży bardzo blisko. Tam też wychodzi tygodnik. Pod tytułem: „Kontakty”. Kiedy przeglądam „Słowo” i „Kontakty” odnoszę wrażenie, że te pisma ukazują się w dwóch różnych krajach... Ale sam tytuł („Kontakty”) zobowiązuje!

12 II. Rada Ministrów ZSRR ogłosiła właśnie dekret „O uporządkowaniu zasad korzystania z samochodów służbowych”. Dokument mówi m.in. o nagminnym wykorzystywaniu samochodów służbowych do celów czysto prywatnych. Postanowiono, że od 1 lipca 1988 r. wydatki związane z utrzymaniem samochodów służbowych, ich utrzymaniem, włączając w to pensje kierowców, koszty paliwa i napraw, będą rozliczane z funduszu rozwoju socjalnego lub innego o podobnym przeznaczeniu. Wielkość owego funduszu będzie ustalana przez rady kolektywów robotniczych. W ministerstwach, instytucjach i organizacjach o 40 proc. zredukuje się liczbę samochodów. Te zbędne przeznaczą się do sprzedaży ludności lub przedsiębiorstwom takżukowym.

Jak obserwuję, w Lublinie ciągle jeszcze wiele samochodów służbowych nie użytkuje się zgodnie z ich przeznaczeniem... Wystarczy szczerze pogadać z kierowcami niektórych bardzo poważnych instytucji: powiedzą, czyją żonę przywożą lub odwożą z pracy (zwłaszcza wówczas, kiedy zbyt śniegiem zawieje i trudno wyjechać własnym pojazdem...)

O kim konkretnie myślę? Ja wiem, ty wiesz, cicho szal Sza?

I jeszcze jedna sprawa innego rodzaju, na którą zwrócił uwagę ukazujący się w Szczecinie (bardzo dobrze redagowany) tygodnik „Morze i Ziemia”. Autor felietonu

napisał, że w pewnej całkiem niepotrzebnie nadużywają prawa do legitymowania osób w miejscach publicznych. Ktoś nieprawidłowo przechodzi ulicę — mandat, nie — zapytuje pismo — ery w takich i podobnych przypadkach naprawdę jest potrzebne legitymowanie? Co za różnica, czy mandat zapłaciła pani Kowalska czy pan Wiśniewski? Po przeczytaniu tego tekstu jedna z czytelniczek zaproponowała, aby milijanci na widocznym miejscu nosili znaczek ze służbowym numerem. Popieram, pułkownik Chochorowski

13 II. Kupilem tygodnik „Walka Młodych” zwabiony anonsem: „Polowanie na psy”. To jest skandal nad skandalem! W Łukowie zanotowano ponoć wypadek właściciela, ale to nie upoważniło pana Wacława Sołę, by własnoręcznie zastrzelił na ulicach miasta w biały dzień 42 psy i jednego kota, za co zresztą w kasie PKG wypłacił mu 43 tysiące złotych!

— Jest pan gospodarzem tego miasta — zapytał dziennikarz, Andrzej Dmowski, naczelnik Łukowa, mgr. inż. Jerzego Sawickiego. — Dlaczego wiedząc o tym, że Sala od kilku dni strzela po ulicach, nie zabrał pan nic, by temu przeciwdziałać, by mu zabronić? — Dlaczego uważa pan, że ja powinienem zabraniać? — Dlaczego... — Nic więcej nie mam panu do powiedzenia. — tak brzmiały ostatnie słowa naczelnika magistrata inżyniera. Zbiorowa odpowiedzialność... Skąd my to znamy?

Brak odpowiednich określeń. Ciężko, co powie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, które kiedyś tak ujmowało się nad cierpieniami, również łukowskiego, psa „Homo” pana Podolaka?

Adam Ochocki w swoich wspomnieniach „Reporter przed konfesjonalem” (Wyd. Łódzkie, 1980 r.) pisze m.in. o tym, jak się przed wojną robiło gazetę. Posłuchajmy. Łódzka spółka z o.o. „Republika” wydawała trzynastolatych tytułów, w tym cztery codzienne (około 20 mutacji „Ekspressu Ilustrowanego” autor liczy za jeden tytuł osiem tygodników i jeden rocznik. W tych trzynastu pismach pracowało... dwudziestu sześciu dziennikarzy, czyli równo po dwóch na jeden tytuł!

Polecam lekturę moim szefom z Zarządu Głównego RSW „Prasa i Książka — Ruch”. Niezależnie od wszelkich uwarunkowań czegoś się z niej też można nauczyć!

14 II. Panorama Lubelska TV może objechała poziom imprezy organizowanej w związku z wyborami „Miss Ziemi Lubelskiej”. Nie byłam, ale wierzę na słowo. Co do urody naszej miss, panny Agnieszki, nie wypowiadać się, bo widziałem ją tylko chwilę na migającym ekranie telewizora. Trzymać za nią kciuków nie będę, bo te wybory zupełnie mnie nie interesują. Gdyby zorganizowano wybory „Mister intelektu Ziemi Lubelskiej” też nie pasjonowałbym się rozgrywkami, bo bym z góry wiedział, kto przywdzieje koronę. Cuda w Lublinie zdarzają się bowiem nie tylko w 1949 roku! (A niektórzy umieją pisać!)

M. A. Jaworski

PS. Ponieważ taksówkarzy raczej się krytykuje niż chwali, z tego miejsca chciałbym podziękować właścicielowi taxi nr 80, który 7 bm. bezinteresownie pomógł naprawić wycieraczkę w samochodzie podczas gęsto padającego deszczu. Jak to dobrze, że jednak można o kims i ciepło słowo napisać!

KRONIKA KULTURALNA

Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie ustanowiła nagrody za wybitne osiągnięcia w różnych obszarach życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego, które wręczane będą rokrocznie, z okazji Święta Odrodzenia Polski. Termin zgłaszania kandydatów do nagrody upływa z dniem 28 lutego danego roku. Wspomnijmy przy okazji, że prezydencką nagrodę artystyczną miasta Lublina podwyższono właśnie do kwoty 150 tys. zł.

UMCS podpisał umowę o współpracy z okręgiem Lubelskim Krajowej PKS. Uniwersytet podejmie prace naukowo-dydaktyczne i badawcze, przydatne dla partycji, otrzymując w zamian pomoc w zakresie usług transportowo-technicznych. W

dokumencie wspomina się ponadto o działalności kulturano-oświatowej, socjalnej etc.

Za wiersz „Mój Norwid” ryszard Kornacki z Międzyrzecza Podlaskiego otrzymał nagrodę „Czerwonej Róży” w cenionym Konkursie Poezji Społecznej i Zaangażowanej w Gdańsku. Gratulujemy!

Od 7 lutego do końca kwietnia w Galerii Sztuki Sceny Plastycznej KUL czynna jest wystawa malarstwa Jerzego Nowosielskiego. Tymczasem szef Sceny, Leszek Mądziak, przebywa w USA na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej.

W auli Wydziału Prawa i Administracji UMCS wystąpił Zespół Muzyki Cerkiewnej Warszawskiej Opery Kameralnej, założony w 1972 i kierowany do dziś przez ks. Jerzego Szurbaka.

Na renowację kamienic lubelskiego Starego Miasta przyznano w tym roku 357 mln zł, co stanowi niecałą połowę potrzebnych funduszy. Natomiast pomysła realizacja planów budowy teatru dramatycznego uzależniona jest m.in. od kwoty 1,3 mln dolarów, której nie ma dotąd na koncie inwestycji. Może zainteresować tym naszą Polonię?

Pięknym ornamentem pierwszej połowy lutego okazała się seria koncertów kameralnych: Lubelskiego Laboratorium Muzycznego, Kwartetu Smyczkowego PFL i

Tria Perkusyjnego PFL. Jeden z artystów tego ostatniego zespołu, Józef Maruszak, obchodził w tym czasie 30-lecie pracy w Filharmonii Lubelskiej. Jubilatowi życzymy nieustającej satysfakcji i działalności twórczej, uprawianej przezeń nie tylko w sferze muzyki.

Teatr Muzyczny wystawił był w gdańskim Domu Cymbelika operetkę Johanna Straussa „Baron Cypański”.

Medalem „Ludziom gorących serc” odznaczono Jana Kaliszuka z Nepli (woj. białkopodlaskiej), który w swojej okolicy od dawna i z dobrym skutkiem troszczy się o zabytki.

W Klubie MPiK przedstawił się chelmskiom Mieczysław Hofa, malarz i rysownik po poznańskim PWSSP, który od kilku miesięcy mieszka nad Uherką, choć urodził się i wykształcił w Wielkopolsce. Może w Chelmie powstanie wreszcie profesjonalne środowisko plastyczne, które zaznaczy swój ślad w programach „Galerii 72”...

W Tarnobrodzie zakończył się właśnie XIII międzywojewódzki sejmik teatrów wiejskich. W imprezie uczestniczyło kilkanaście zespołów, które w większości wystawiły ludowe widowiska obrzędowe.

W lubelskim BWA czynna jest posmiertna wystawa Jana Bobolowicza (1911-1987), malarza po gdańskiej PWSSP. Inne

ekspozycje w BWA: „Kamienokrad” Lucjana Demidowskiego, o którego fotografiach pisywała niedawno „Kamena”, oraz „Drzewokradztwo” Antoniego Zdeblaka (o którego twórczości traktuje praca magisterska, powstała w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS).

Ukazal się kolejny medal z cyklu „poczet władców i orłów polskich”, który przed laty zainicjował Oddział PTTK przy Urzędzie Wojewódzkim w Chelmie. Najnowsze dziełko sztuki rzeźbiarskiej i organizatorskiej energii Konstantego Protogi przedstawia portret Kosimierza II Sprawiedliwego oraz orła z epoki, wzorowanego na znaku z monety księcia.

Z żałobnej łary

1 lutego, w wieku 53 lat, zmarł red. Czesław Kłepacki, ostatnio kierownik Oddziału Wschodniego „Chłopskiej Brody”, dawniej redaktor „Kurieru Lubelskiego”, lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia i „Naszej Wsi”, działacz b. SDP i SD PRL, utalentowany publicysta i SD PRL, utalentowany publicysta i SD PRL, kolega, bardzo wyczułony na krzywdę innych. Nie tylko środowisku dziennikarskie poniosło dotkliwą stratę. Część Jego pamięci!

Czy Odilo Globocnik otrul się w Karyntii?

ROZMOWA Z KIEROWNIKIEM ZAKŁADU HISTORII NAJNOWSZEJ UMCS PROFESOREM ZYGMUNTEM MAŃKOWSKIM

— Jedną z najbardziej ponurych postaci czasu okupacji był SS-Brigadeführer Odilo Globocnik, dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim. Cechowało go wyjątkowe okrucieństwo i aktywność, zasłynął z ekstremalnej, a w niektórych odniesieniach wręcz bezprecedensowej polityki wobec ludności okupowanych terenów. Omawiający działalność Globocnika referat pana, wygłoszony podczas międzynarodowej konferencji poświęconej obozom nacychiastowskiej śmierci na Lubelszczyźnie (która odbyła się w sierpniu ubiegłego roku w Lublinie), wywołał duże reperkusje i zainteresowanie osobą Globocnika. A jeszcze ostatnio wyszły na jaw zupełnie nieznanne dokumenty dotyczące okoliczności śmierci Globocnika.

— Istotnie. Trzeba tu podkreślić, że w dotychczasowych światowych badaniach skupiano uwagę głównie na decydentach, pomysłodawcach itp., jak Himmler, Heideich, Goering; natomiast nie dostrzegano, jak wielką rolę w ludobójstwie odegrali tego rodzaju żarliwi wykonawcy jak Globocnik. Zresztą ten ostatni był nie tylko żarliwym wykonawcą, ale usprawniał całą maszynę tej zbrodni i nadawał jej przyspieszenia.

— Już wkrótce po objęciu władzy w Lublinie, w listopadzie 1939 r., zwrócił na siebie uwagę masowymi aresztowaniami inteligencji i duchowieństwa...

— To właśnie z jego polecenia dziesięciu najwybitniejszych przedstawicieli inteligencji Lublina rozstrzelano w końcu 1939 r. na cmentarzu żydowskim. To jemu zawdzięczało dwóch biskupów — mimo licznych interwencji — zesłanie do obozu koncentracyjnego. Wiele osób spośród inteligencji zamęczono w więzieniu lub zesłano do obozów zagłady. W 1940 r. na polecenie Seyss-Inquarta, ze szczególną gorliwością, wbrew intencjom generalnego gubernatora Hansa Franka, dokonał Globocnik masowej zbrodni w Józefowie Łukowskim; zginęło wtedy dwustu mieszkańców wsi (sprawa ta była następnie przedmiotem dochodzenia nakazanego przez Franka; chodziło o spór kompetencyjny). W połowie 1940 r. przeprowadził Globocnik — z większą gorliwością niż gdzie indziej — nakazaną przez Himmlera akcję AB (w kilku egzemplach na przedmieściach Lublina stracono wówczas ponad pięćset osób). W 1941 r., po konsultacjach z Himmlerem i jego sztabem, podjął Odilo Globocnik przygotowania do wielkiej akcji wysiedleńczo-osadniczej w dystrykcie lubelskim (ściślej: na Zamojszczyźnie). Akcja ta, ze względu na swój rozmiar oraz metody (eksterminacja, porywanie dzieci itp.), posiadała powiązania z Generalplan Ost — planem zagłady Słowian.

— Wspomniał pan na wstępie, że szef policji i SS dystryktu lubelskiego zaliczał się do tych, którzy usprawniali z własnej inicjatywy i dodawali przyspieszenia ludobójczym planom swych przełożonych...

— Rzeczywiście. Był pomysłodawcą i inicjatorem wielu przedsięwzięć o zasięgu daleko wykraczającym poza jego funkcje. Przygotowując na przykład akcję wysiedleńczą, starał się całkowicie spacyfikować nadzorowany przez siebie obszar. Posłużył się w tym celu nadzwyczajną koncentracją sił policyjnych i Wehrmachtu (dystrykt lubelski posiadał w związku z tym najsilniejszą obsadę okupacyjną). Najbardziej konsekwentnie stosował zasadę odpowiedzialności, zbiorowej (pacyfikacja, wysiedlanie, egzekucja oraz najbar-

ziej brutalnie ingerował w różne sfery życia społeczeństwa, w tym — w akcję kontyngentową. Wśród jego zarządzeń niektóre wydają się być bezprecedensu. Na przełomie 1942 i 1943 r., mając całkowite poparcie Himmlera, dokonał wbrew oporowi Franka, lubelskiego gubernatora Zörnera, a później nawet Goebbelsa, masowej zbrodni wysiedlenia z około trzystu wsi (akcja dotknęła ponad 110 tysięcy zamojskich chłopów). W orbicie tej akcji znalazło się około trzydziestu tysięcy dzieci, których znaczna część albo zginęła, albo została zgermanizowana. Akcja owa — jak pamiętamy — wywołała ogromne krajowe i międzynarodowe reperkusje, wzmożenie ruchu oporu (z elementami żywiłowego powstania), który z kolei Globocnik tłumił przy pomocy krwawych akcji pacyfikacyjnych. Wypadki te wywołały w dystrykcie stan poważnej destrukcji, a w efekcie — potępienie polityki Globocnika (a więc de facto: Himmlera i jego sztabu) przez Franka, a nawet Goebbelsa. Cały osobny rozdział działalności Globocnika to sprawa eksterminacji Żydów i „obozy nacychiastowskiej śmierci”...

— Kim właściwie był Odilo Globocnik? Skąd wziął się on w Lublinie? Do dzisiaj jest to w tym względzie (nawet dla ludzi, którzy znają jego zbrodnia działalność, a często doświadczali jej także na sobie) postać mało znana.

— Pochodził z Triestu. Urodził się tam 21 kwietnia 1904 r. Był wyznania rzymskokatolickiego. Miał średnie wykształcenie techniczne (skończył technikum budowlane), choć kiedyś powiadomił Himmlera, że posiada tytuł inżyniera „na podstawie posiadanej wiedzy”(!). Do NSDAP wstąpił w marcu 1931 r. W pracy partyjnej wybił się w rodzinnej Karyntii. Stamtąd przeszedł do pracy nielegalnej w Wiedniu. W okresie przygotowań Hitlera do Anschlusu był niezwykle czynny; ściśle współpracował z najwybitniejszymi nazistami w Austrii i w Rzeszy: Seyss-Inquartem, Bürcklem, Kaltenbrunerm, ale także z Hitlerem, Himmlerem, Goeringiem. Był za tę działalność czterokrotnie aresztowany przez władze austriackie i skazywany na więzienie. Po Anchlussie został Gauleiterem Wiednia. Wtedy to właśnie wszedł w konflikt z Bürcklem, m.in. na tle gospodarki finansami.

— Podobno były to odrębne przestępstwa kryminalne?

— Według niektórych przekazów, został zdjęty ze swego stanowiska, i nawet był sądzony, jakoby za obrabowanie (dla własnej korzyści) bogatego żydowskiego jublera.

— Tak czy inaczej w pewnym momencie jego kariera partyjna zawaliła się?

— W 1938 r. został skierowany jako SS-Standarteführer do sztabu Himmlera. Himmler darzył go wielkim uznaniem, i to do tego stopnia, że pisywał do Globocnika listy zatytułowane konfidencjonalnie: „Drogi Globusie”, przesyłał mu prezenty (np. herbatę z makiem), a nawet zwierzał się ze swych perypetiów miłosnych. Trzeba podkreślić, że w swym „austriackim okresie” Globocnik przejawiał ostry, bezwzględny antysemityzm i przychylił się wówczas walcnie do prześladowań Żydów. Z początkiem września 1939 r. skierowany został do tzw. Verfügungstruppe, ale

— A kiedy pojawił się w Lublinie?

— Himmler mianował go — już jako SS-Brigadeführera — 1 listopada 1939 r. „komendantem policji przy szefie dystryktu Lublin”. Lecz wobec ustalenia się w tzw. międzyczasie struktury władz i policji w GG, Odilo Globocnik przybył do Lublina 9 listopada 1939 r. jako dowódca SS i policji w dystrykcie, którą to funkcję pełnił do lipca 1943 r. Funkcja ta, ale głównie szczególne predyspozycje Globocnika, jego poglądy oraz przedsiębiorczość sprawiły, że stał się wśród dowódców policji w Generalnej Guberni jednym z najbardziej aktywnych i bezwzględnych oprawców. Był przede wszystkim niezwykle dyspozycyjny wobec RSHA (Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy) i RFSS (Dowódz-



Odilo Globocnik
Repr. Przemysław Ostrzyżek

stwa SS). Pisano o nim w opiniach, że wraz z Krügerem „wypełniał plany RFSS prawie w stu procentach”. W licznych ocenach SS i policji podkreślano, że jest „jednym z najdzielniejszych i najlepszych pionierów w GG”, „pewnym siebie, odważnym, człowiekiem czynu”, wskazywano na jego „ambicje i samodzielność”. W istocie — był on niezwykle awanturnikiem o cechach wyrafinowanego zbrodniarza.

— Owe „wybujałe ambicje” i awanturniczość niejednokrotnie były powodem poważnych konfliktów z szefem dystryktu lubelskiego Zörnerem, co znalazło także odzwierciedlenie w „Dzienniku Hansa Franka”. Odbyła się nawet specjalna konferencja w Krakowie u Franka, poświęcona konfliktowi pomiędzy Globocnikiem, a Zörnerem, a podczas innych krakowskich narad echa tego konfliktu wciąż wyływały.

— Był to nie tylko konflikt z Zörnerem. Także z samym generalnym gubernatorem Frankiem. Globocnik, wbrew przyjętej w GG pragmatyce, nie uznawał priorytetu władz administracyjnych nad siłami policji. Spór ten przenikał do szczytów sfer III Rzeszy (Himmlera, Goebbelsa) i miał wręcz kapitalne znaczenie dla wielu spraw. Jest rzeczą chyba niewątpliwą, że Himmler, delegując Globocnika na dowódcę SS i policji w dystrykcie lubelskim, wyposażył go w instrukcje i kompetencje, które nie mieściły się w pragmatyce tego stanowiska, określonej przez Franka. Globocnik był po prostu gorliwym wykonawcą dążeń Himmlera, który widział

Franka uważał, że siły policyjne nie powinny podlegać administracji, kierując się jedynie instrukcjami swoich władz nadrzędnych w Rzeszy, a miejscowa ludność powinna bezwzględnie podlegać tylko jurysdykcji policji. Ten spór kompetencyjny pomiędzy Krügerem-Globocnikiem (głównie jednak: Globocnikiem) a Frankiem Zörnerem miał podłoże ambicjonalne, ale również ekonomiczne. Chodziło o podział łupów pomiędzy państwowy aparat Rzeszy a SS.

— Był Globocnik niezwykle istotnym trybem w tym całym mechanizmie?

— Oczywiście. To wszak przede wszystkim Himmler zadbał o utrwalenie i wyeksponowanie pozycji Globocnika. Obok powierzonej mu funkcji dowódcy SS i policji w dystrykcie, mianował go swoim pełnomocnikiem do spraw przesiedlania kolonistów niemieckich z okręgu lubelskiego (1940 r.), pełnomocnikiem do spraw budowy ośrodków SS na nowych obszarach Wschodu (czyli punktów oporu, małych warowni na wszystkich zdobytych i zdobywanych terenach, aż ewentualnie po Ural). Dodajmy do tego, iż prawdopodobnie posiadał Globocnik także (choć sprawa ta nie jest jasna do końca) tytuł „pełnomocnika do spraw umacniania niemieckości na Wschodzie”. W każdym razie kontakt Globocnika z Himmlerem i jego sztabem był nieustanny i wyraźny, z pominięciem władz GG.

— Ale to nie wszystko...

— Nie. Bo obok wymienionych tu funkcji zdobył też Globocnik w początkowym okresie prawo zastępowania gubernatora dystryktu podczas jego nieobecności; od września 1941 r. (?) został kierownikiem NSDAP w dystrykcie (w związku z tym zaczął się nawet dopominać o tytuł Gauleitera, który posiadał kiedyś w Wiedniu). Po wyjściu zwycięsko z konfliktu, jaki wywołał (a w którego toku miał szansę — lansował to Himmler i jego sztab — na objęcie funkcji gubernatora dystryktu lubelskiego, połączonej oczywiście ze stanowiskiem dowódcy SS i policji oraz szefa NSDAP), byłby wówczas zupełnie wyjątkiem w tej mierze w Generalnej Guberni.

— Ale tak się nie stało?

— Nie. Bo w ostatecznej rozgrywce Himmler został zmuszony do odwołania Globocnika. Mianował go wówczas wyższym dowódcą SS i policji w strofie operacyjnej nad Adriatykiem z siedzibą... w Triście. (W Jugosławii wykazał się Globocnik takim samym okrucieństwem jak w Polsce). A wracając do spraw lubelskich, to do wyroku różnych funkcji pełnionych przez Globocnika dochodził także tytuł koordynatora akcji „Reinhard” (zagłady Żydów), dający mu wręcz nadzwyczajne pełnomocnictwa, uprawnienia i godności. Czy można się dziwić, że Globocnik nie zamierzał się liczyć z kimkolwiek w Generalnej Guberni, a tym bardziej z lokalnymi władzami dystryktu lubelskiego? Uważał się za zupełnie niezależnego od tych władz ufał jedynie władzom SS i policji w III Rzeszy.

Dokończenie na str. 8

Polskie drogi artystyczne

Ireneusz J. Kamiński

CHEŁOPCY i panienki znad Włosek biegną po placu du Tertre dla pieniędzy, podobnie jak malarnia na warszawskiej Starej Wsi, tworząc jednak mimochodem coś w rodzaju wartości wyższego rzędu, a mianowicie folklor, czyli fenomenem bardzo u nas ceniony. Gdyby to nasze nieformalne przedstawicielstwo plastyczne występowało jeszcze w strojach np. łowickich, ani chyba znalazłoby się w kraju ludzie skłonni do ozdobienia owej młodzieży stosownymi medalami lub stypendiami. Okolicznością po temu sprzyjającą byłby też chyba fakt, że odzienie łowickie, powszechnie uznawane wszak za zmaterializowaną postać entelechii ludowej, wywodzi się po prawdzie z barwy i formy dawnych kostiumów gwardii watykańskiej.

Dajmy przecież pokój Lechitom z du Tertre, bo w istocie stanowią oni za ledwie smoluchowaty przyczynek do kwestii polskiej obecności artystycznej we Francji.

Już w pierwszym czytaniu temat ten wywołuje w wyobraźni obraz panoramiczny, epicki i wzruszający, ładnie akcentowany postaciami takich choćby malarzy, jak Olga Boznańska, Tadeusz Makowski, Władysław Słewiński czy kilkakrotnie wspomniany Józef Pankiewicz, którzy długie lata mieszkając we Francji, tam kresu życia swego dobiegli. Byli to artyści znakomici, odrębni, wywyższani albo poniżani przez los, zatem rzeczone opisanie ich egzystencji i twórczości na obczyźnie mogłoby ułożyć się w książkę ciekawą, miejscami wręcz rewelacyjną, może nawet pouczającą — przede wszystkim dla Francuzów!

Malarze ci należą do historycznego kanonu sztuki polskiej, poświęcono im wiele rozpraw naukowych i innych publikacji, a także sporo dobrego miejsca w naszych muzeach. Twórczość Boznańskiej i Makowskiego ucukrowana została nawet w popularnej legendzie, jakoś tam funkcjonuje w pamięci szerokich kręgów co bardziej rozgarniętej publiczności, nie mówiąc o środowiskach artystycznych. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych dopuszczono się wręcz aktów kidnapingu wobec krągłych postaci z obrazów autora „Concert d'enfants”, które tak przypadły do gustu plastynom pici obojga, prowincjonalnym i stołecznym, że przemocą wprowadzali je do własnych półceń — zapaścanych na modłę sentymentalną, więc i cieszących się znacznym wzięciem wśród nowych elit.

Ale w Paryżu ten piękny fragment kanonu sztuki naszej, poczęty wszak z ducha kultury francuskiej i tam w większości narodzony, jest chyba kompletnie zapomniany.

Wspomniałem już o tym, że bezskutecznie poszukiwałem dzieł Pankiewicza w czołowych muzeach paryskich. Teraz informuję, w melancholijnym nastroju, że nie znalazłem tam również obrazów Boznańskiej, Makowskiego czy Słewińskiego. Naturalnie, mogłem coś przeoczyć, ale faktem pozostaje, że ich nazwiska nie ma w opłakanych, ważącym jakieś trzy kilogramy katalogu „La Collection du Musée national d'art moderne” w Centre Pompidou, który zresztą kosztował 320 franków (prawie 60 dolarów), lecz trafił w me ręce jako souvenir od Stanisława Zadory, historyka sztuki z

„Beaubourga”, komisarza głównej wystawy „4xParyż” w warszawskiej „Zachęcie”, a przy tym człowieka cierpliwego i życzliwego osobom poszukującym poloników francuskich.

Co zawiera ten świetnie wydany katalog, będący w istocie encyklopedią sztuki nowoczesnej? Prawie 800 reprodukcji prac 310 artystów z różnych krajów świata, artykuł o zbiorach muzeum, noty biograficzne i treściwe charakterystyki prezentowanych malarzy, rzeźbiarzy etc. Historyczny wątek polski reprezentuje w publikacji tylko Louis Marcoussis (1878—1941), malarz kształcony w Krakowie, od 1903 roku mieszkający w Paryżu, gdzie związał się z kręgiem kubistów, natomiast współczesny — jedynie Roman Opalka, autor znanych u nas dobrze „obrazów liczonych”, który długie lata mieszkał w Polsce, ukończył warszawską ASP, lecz urodził się we Francji i tam od dawna, na południu, znów mieszka. Jest to artysta bardzo wysoko ceniony w międzynarodowym systemie prestiżowych galerii, o czym informują bez emocji towarzyszących np. Bożenie Kowalskiej, autorce polskiej monografii Opalki, która w malowanych ciągach Hezbowych znajduje dramatyczny pamiętnik upływającego czasu, coś w rodzaju znaków na człowieczej drodze do śmierci.

Tak przedstawia się trop polski w Centre Pompidou, ujęty w okazalym katalogu i prezentowany w stałej ekspozycji muzealnej, oglądanej prawie codziennie przez setki publiczności, która do gmachu a la elektrociepłownia na Siekierkach wpuszczają portierzy — byli policjanci w służbie państwa francuskiego.

W tej ekspozycji nie ma obrazów Jana Lebensteina, choć artysta od ponad ćwierć wieku żyje w Paryżu, pozostając w bliskich kontaktach z tamtejszym klerem polskim. O ile wiem, autor rysunkowej „Apokalipsy”, wystawianej niedawno w Lublinie, nie budzi dziś większego zainteresowania krytyki, co może i dobrze o nim świadczy...

Tam nie ma też śladu po charyzmatycznych postaciach naszej awangardy, uznawanej przez niektórych protagonistów formacji za nad-awangardę świata i okolic.

W Centre Pompidou możemy przecież poprawić sobie samopoczucie przed obrazami Balthusa czyli Balthazara Klossowskiego de Rola, którego prasa nasza popularna próbuje czasami przeciągać na stronę polską, a to ze względu na narodowość jego ojca, ponoć hrabiego zresztą, co szczególnie obecnie roznamiętnia rzeszę obywateli PRL, gorączkowo poszukujących własnych korzeni choćby w lożu króla Jana spod Wiednia. Nie wspomina się przy tym, bo to niewygodne, o matce artysty, która albo pochodziła z rodu Byrona, albo była córką wrocławskiego rabina — trudno polapać się w tych wykreowanych autobiografiach neurastenicznej inteligencji twórczej. Ja także oniemiałbym z radości, gdyby okazało się, że Balthus z upodobaniem nuci „Warszawiankę” i świętuje 22 lipca oraz 11 listopada, inspirując się w twórczości wzorami podhalańskiej sztuki ceprów.

Ale tego rodzaju dywagacje etniczno-kulturowe to czysty idiotyzm. Urodzony w 1908 roku w Paryżu, Balthus jest — po prostu Europejczykiem, który dał dzieło głęboko powiązane z duchową tradycją śródziemnomorską, choć zwykle i chyba niefortunnie wtlaczane przez krytyków w ramy surrealizmu. Klossowski de Rola, jeden z najdroższych malarzy naszych czasów, kryje się dziś przed światem w swojej pawilonie nad Lemanem.

Narodowej satysfakcji mógłby natomiast dostarczyć nam Richard Stanekiewicz (1922—1983), który w katalogu figuruje jako „Amerykanin polskiego pochodzenia”. Cóż jednak z tego, skoro życie i twórczość wybitnego rzeźbiarza, studiującego okresowo w Paryżu pod kierunkiem Legera i Zadkine'a, spełniły się bez reszty na sposób zachodni.

Niewykluczone przecież, że nieobecny w stałej ekspozycji Centre Pompidou, jakieś dzieła z sygnaturą polską znajdują się w przepastnych magazynach instytucji, kryjących ponad 20 000 prac

Amerykanka w Lublinie

Dokończenie ze str. 1

działy się one w australijsko-amerykańskim odczuwaniu, ale nawet gdybym wiedział, byłby to i tak temat na inne opowiadanie. Wiem tylko, że następnego dnia nie było obiadu. Restauracja bowiem w najlepszym hotelu miasta była okresowo nieczynna. Uprzejmy portier, jedyny przedstawiciel personelu, który zachował do końca (to znaczy do chwili, gdy przekonał się, że z dewizowego napiwku „nie”) ów blizujący ognik energii w oczach, poinformował nas, że również restauracja w drugim co do wielkości hotelu miasta jest okresowo nieczynna. Pozostał więc tylko spacer wczesnopopołudniowymi ulicami miasta. Mimo usilnych prób zniżania głosu, spowodowanych zwykłym uczuciem żenady, nie udało się uniknąć nachalnego zwracania głowy w naszym kierunku na dźwięk obcojęzycznych wyrazów. Dziw mnie trochę brał, gdyż mamy już przecież w naszym mieście kilkunastu obokrajowych studentów, w tym jednego Murzyna i parę z Mongolii. A jednak...

Starówka, z założenia piękna, przywitała nas liżającymi odpadającymi tyłku i gustownymi parawanami z niechętnych desek, okalającymi teren renowacji. Napoczęliśmy więc ją jedynie na obrzeżach, by obok katedry wrócić tym samym „krakowskim traktem” do

hotelu. Zrobiło się bowiem późno i czas było na dworzec. Ogromniasta, poskręcana kolejka na postoju taksówek nie sprowadziła na mojego gościa naglego załamania ducha. „Na pewno inni także jadą na dworzec — powiedziała. — Zabierzemy się więc razem. Tak jest w Warszawie”. W Warszawie tak jest, choć nie zawsze tak jest dobrze. Czasami buli się bowiem w dwójnasób za swój i współpasażera kurs, a czasami „Taxi” mknie pusta, gdyż „bierze tylko na Żoliborz”. Przymuszony do indagowania ludzi, spotykałem się jedynie ze spojrzeniem społe lub bądź niechętnym mruknięciem, a raz sam kierowca odmówił kursu zbiorowego, dowodząc, że nie jest autobusem. Szczęśliwie jednak i nasza kolej także nadeszła. Zapytywany o lubelskie zryczaje kolejkowe, taksówkarz wyjaśnił: „To przez tych, co chcą jeździć na cudzy koszt. Dosiadają się i potem nie chcą płacić”. A nie mówiłem...

Na dworcu było najgorzej. Tu już nawet najcichszy obcojęzyczny „belkot” animował publiczność do działania. Trzech podpiętych weekendowców przywitało moją znajomą szarmanckim: „Cieś lala!” i od razu zapachniało widowskim. Pierwsza jednak przepchała się do niej obchuszone babuślinka, by wypowiedzieć mało koherentną sągę o swoim rodzinnym domu. Próba schronienia się w poczekalni dla podróżnych okazała się niewypałem. Fotor, jaki uderza tam wchodzącego zaraz po otwarciu drzwi, był nie do pokonania. Tymczasem mojego gościa

doпадł głód. Mimo zapewnień, że pizzy nie dowieźli, „schabowe wyszły”, poledwicie a la Wellington serwują tylko do trzynastej, a jedyny ostaj w karcie (alias na drewnianej tablicy) bigos grozi natychmiastowym zbrataniem się z salmonellą, racja fizjologiczna i tak wzięła górę. Zakupiłem więc bigos i dopiero te niedomyte koślawe sztuce z dziwnej, miękkiej „stali” wpłynęły negatywnie na ostateczną posiłkową decyzję mojego gościa. Szpital na Bierneckiego (oddział toksykologiczny) e-był się tym razem bez zagranicznego pacjenta.

W końcu nadjechał pociąg. Otarłem pot z czoła i podskoczyłem radośnie, ezując, że dobiega końca moja droga



Rys. Andrzej Bronikowski

przez mękę. Alifci okazalo się, że miejscowa w pierwszej klasie tego pociągu są zarezerwowane (relacja Lublin — Lipsk). Nikt nie poinformował o tym zainteresowanej, gdy wykupywała bilet powrotny. I tu wyszła nieoczekiwana dżentelmeneria Polaków. Uprzejmy młodzieniec ustąpił miejsca australijskiemu gościowi, godząc się stać całą drogę, jeśli tylko podobne rozwiązanie uzyska konduktorski konsensus. Udałem się więc do apacerującego po peronie

bossa i poprosiłem go, by jakoś rozwiązał ten dylemat ze względu na dobre imię kraju. W odpowiedzi wykrzyknął oburzony: „Nie obchodzi mnie, czy to Amerykanka, czy Rosjanka. Jak będzie miejsce, to pojedzie, a jak nie, to nie”. Przyznałem mu rację co do równości w traktowaniu rozmaitych nacji i uspokoiłem przerażoną mieszkankę antypodów (obserwowała tę scenę przez okno), że pan tylko tak żartuje i że na pewno wszystko będzie O.K.

I było. Pociąg ruszył, unosząc ze sobą mojego gościa. (W przypadku pana w ciemnym mundurze chodziło przecież tylko o pokazanie odrobiny wdzięku. Ot, taki drobny przejaw zwykłej ludzkiej słabości).

Gdy wracałem do domu, wciąż przemyślałem ze współczuciem, jak trudnego zadania podjął się minister Urban. To fakt, że choćby w górach na turecko-irackiej granicy bywa o wiele gorzej. Nie miałbym także nic przeciwko temu, by pogonić kota cudzoziemcom, zwłaszcza z drugiego obszaru. Ot, żeby tylko przyjąć angielską zasadę: „Wszystko, co najlepsze, dla nas, a dopiero potem dla innych”. Cóż, kiedy i ja nie mogłem naprawdę strawić rzeczowego bigosu.

Gdy więc ukaże się jakiś tekst „stygdy” gdzieś w dalekiej prasie (mimo niewątpliwych zasług naszego miasta na kulturalnej i innej arenie) i w sposób „nieco tendencyjny” przedstawi nasze codzienne bytowanie, nim zawładnie nami grom świętego oburzenia, lepiej rozzejrzyjmy się uważniej dookoła siebie. Może przez kolejkowe i inne za-cietrzewienie dostarczymy wreszcie umykającą potrzebę zadbania o wartości wyższe. A cudzoziemcom zdecydowanie polecam wojaże z Orbilem albo Interpressem. Takie duże autobusy omijają bowiem zreżymowane wszystkie dołki i kałuże.

Wiesław Horabik

Byłem tam dzięki uprzejmości pana Zadory i zobaczyłem wreszcie to, czego od dawna szukałem: siedem obrazów Tamary Lempickiej, znanej na Zachodzie jako Tamara de Lempicka.

W ubiegłym roku, bodaj po raz pierwszy w Polsce, opublikowałem fragment biografii tej interesującej malarzki i jednej z najpiękniejszych kobiet międzywojennych salonów Paryża, o której serce i ciało ubiegał się w sposób tyle dynamiczny, co bezskuteczny, podstarzały już wtedy poeta włoski d'Annunzio, nie mówiąc już o innych galopantach z société. Przypomnę więc tylko, że urodzona zapewne w Warszawie, chyba w 1907 roku, z domu Górską, primo voto Lempicka, secundo Kuffner (po baronie węgierskim) — Tamara mieszkała kolejno w Polsce, Rosji, Francji, by przed wybuchem II wojny światowej osiąść w USA, gdzie zmarła w 1980 roku. Jako autorka oryginalnych, zmysłowych, a jednocześnie precyzyjnie budowanych aktów i portretów, utrzymanych w poetyce Art Deco, już w latach międzywojennych cieszyła się uznaniem krytyków i tzw. eleganckiej publiczności, brała udział w poważnych wystawach, m. in. w Poznaniu (1929). Ekspansja tendencji awangardowych kompletnie przesłoniła jednak jej twórczość i zniechęciła artystkę do uczestnictwa w galeryjnym życiu sztuki. Taka sytuacja utrzymywała się aż do roku 1972, kiedy to w paryskiej Galerii du Luxembourg otwarto indywidualną wystawę Lempickiej. No i zaczęła się hossa, która trwa do dzisiaj, zmierzając do szczytów, nie doznając najmniejszego stygnięcia. W korespondencji z Nowego Jorku Tadeusz Mysłowski domagał się niedawno, że jeden z obrazów Lempickiej zakupiono w USA za 300 000 dolarów, na Broadwayu idzie właśnie sztuka „Tamara” (wcześniej w Toronto i Los Angeles), w której rolę tytułową kreuje Anjelica Huston, córka „tego” Hustona, a żona Jacka Nicholsona. Warto więc zapamiętać, że we wszystkich znanych mi publikacjach na temat Lempickiej podkreśla się jej polski rodowód. Zresztą i d'Annunzio, waląc z armat (dosłownie!) na cześć Tamary, wznosił ponoć okrzyki: „Za ciebie! Za Polskę! Za twoją sztukę! Za twoje piękno!”.

Wymczeniem w Centre Pompidou siedem obrazów Lempickiej drzemie w magazynie, choć przynajmniej trzy z nich wypada uznać za pierwszorzędne. Mówi się, że Francuzi mają jakby wygórowane mniemanie o sobie.

Może więc nie powinniśmy przejmować się brakiem liczniejszej reprezentacji sztuki polskiej w muzeach paryskich...

Może wreszcie pora, by chwalić się aktem rozsądku, jakim było sprowadzenie do Polski wyjątkowo cennego zbioru obrazów olejnych, rysunków, akwarel, grafik i materiałów dokumentacyjnych Tadeusza Makowskiego. A stało się to w roku 1954, tak jest, w okresie realizmu socjalistycznego, of course.



Tamara Lempicka.

Ale z drugiej strony wiadomo, że nieobecni nie mają racji.

Jest przecież dom nad Sekwaną, na Wyspie św. Ludwika, przy quai d'Orleans 6, kilkaset metrów od księgarń państwa Romanowiczów, dom wysoki, z XVII wieku, gdzie można wreszcie zetknąć się z okazałym fragmentem naszej historii i kultury, chronionym tam od 1853 roku i wzbogacanym w następnych dziesięcioleciach. To Biblioteka Polska, otwarta wcześniej (1839) w innym miejscu, przy której w początkach obecnego stulecia (1903) urządzono Muzeum Adama Mickiewicza.

Powołana do życia przez emigrację popowstańcowa, wielce zasłużona dla nauki i polskości w ogóle, placówka ta przejęta została w roku 1893 przez krakowską Akademię Umiejętności, która związała z nią swoją paryską Stację Naukową. Po II wojnie ośrodek ten oddzielono od Biblioteki, przeniesiono do innej dzielnicy Paryża, no i dzięki temu miałem przyjemność pomieszkać w Centre Scientifique de l'

Académie Polonaise des Sciences przy rue Lauriston.

Biblioteką i muzeum zawiaduje dziś środowisko emigracyjne, zdystansowane, ujmując rzecz ogólnie, wobec PRL.

Twierdzi się, że bez znajomości książek, czasopism, rękopisów i innych dokumentów zgromadzonych przy quai d'Orleans nie można napisać żadnej sensownej pracy z dziejów emigracji polskiej we Francji. Wszelkie wątpliwości w tej mierze mógłby rozstrzygnąć prof. Wiesław Sładkowski, autor rzeczowej i dobrze napisanej książki „Polacy we Francji”, wydanej przez lubelskie PCKO (1985). Przy układaniu niniejszego tekstu nie korzystałem jednak z tej pracy, obawiając się, że zostaną zniewolony mocnymi sugestiami jej autora.

Mówi się także, że dla podniesienia temperatury emocjonalnego kontaktu z dziełem i postacią Mickiewicza konieczna jest przynajmniej jedna wizyta w muzeum Wieszcza.

Nic dodać, nic ująć.

Ale czy w Bibliotece Polskiej zauważył ktoś tego siwiutkiego, zgarbionego staruszka, który bezszczeniście kroczkiem przemierza wysokie wnętrza budynku, przyodział w wytarty garniturek ze starych żurnali? Kto? No nie, nie szukajcie w pamięci obrazka takiej postaci, bo ów staruszek to enigma czyli śluch przeszłości skrojonej na miarę jakiejś galicyjskiej prowincji, znanej już tylko współczesnym Polakom ze starych fotografii lub z nostalgicznej prozy Andrzeja Kuśniewicza.

Stare są meble w czytelni bibliotecznej, struktura przestrzenno-informacyjna ekspozycji Mickiewiczowskiej przypomina regionalne muzeum starożytności z początków wieku, albo Muzeum Polskie w Chicago z lat siedemdziesiątych XX stulecia.

Od dawna też krąży plotka, że luzy organizacyjne w Bibliotece umożliwiają „wyprowadzanie” różnych wydawnictw do paryskich antykwaratów i gdzie indziej.

Naturalnie, „materię pierwszą” Biblioteki nie bez powodu cenią sobie uczeni i publicyści.

Ale katalog zbiorów muzealnych dopiero teraz jest opracowywany i ze względu na wysokie koszty druku nie będzie publikowany.

Biblioteka nigdy nie cierpiała na nadmiar pieniędzy.

Inna sprawa, że ostatnio znaleziono środki na remont budynku, dzięki temu w schłodniejszych warunkach prezentowane jest to, co przede wszystkim

przyciągało mnie na Wyspę: kolekcja obrazów Ogi B...

Nie pomnę już, ile płócien malarzki wisi na żółtawych ścianach niewielkiej salki na drugim czy trzecim piętrze: może kilkanaście, może więcej?

Z biegiem lat Boznańska coraz głębiej zapadała w samotność, za towarzysztwo mając tylko gromadę oswojonych białych myszy.

Zyla w biedzie, w nędzy nawet, bo zwykle portretując osoby ze środowisk inteligentnych, nie domagała się odpowiednich honorariów, a i w ogóle obywała się słowem podzięk.

Jej wyrafinowane malarsko, pokryte szarym tonem obrazy mówią wiele o życiu psychicznym znerwicowanych modeli, ale w autoportrecie znajdujemy kobietę całkowicie wyobcowaną ze świata.

Pod tym wizerunkiem własnym Boznańskiej leży — nisko, u samej podłogi — maska pośmiertna artystki. Nie znajduję powodu, dla którego należałoby umieścić ten znak śmierci w kolekcji ciągle żywego przecież malarstwa. Na podłodze, która wszak nie jest płytą epitafią nad kryptą, depną bulami jeszcze żyjących, zgodnie z ostatnią wolą zmarłego.

Kolekcja otwarta jest dla publiczności tylko w czwartki po południu. Jeśli fakt ten określa stopień zainteresowania Polaków sztuką Boznańskiej, biadolenie nad nieobecnością jej dzieł w publicznych kolekcjach francuskich należy uznać za przypis do „Króla Ubu”.

Byłem świadkiem takiej scenki: kiedy energiczna opiekunka muzeum, pani Zofia Zdziechowska (z Radziwiłłów), przerwała dla oddechu swój kilkuminutowy już wykładzik o malarce, zaadresowany do czteroosobowej familii polskiej, głowa rodziny zapytała nagle: — A kto to była ta Boznańska?!

W samym muzeum znajduje się dużo różnych portretów Mickiewicza niezrędko odbiegających od znanego nam stereotypu. Skądinąd wiemy, że poeta chwalił się postacią korpulentną, raczej niską, a dla uciechy lubił przebierać się w damskie klecki, rajując towarzysztwo. Są tam ponadto na ścianie korytarzyka, obrazy Pankiewicza, Czapskiego i innych dobrych malarzy — tak stłoczone, jakby pełniły rolę tapety. Zrozumiałe, że w takiej scenarii, kiepsko zresztą oświetlonej, wpadła mi w oko zupełnie odmienna wartość: jaśniejąca młodością i urodą pani Ewa Jakubowska, zatrudniona w muzeum jako stażystka.

(odn.)

Bezdomni bez nadziei?

Dokończono ze str. 1

Światło, świetnie im się żyje, a tylko marudną bezprzyczynnie, przynudzają, żeby koniecznie mieć własne mieszkanie, jakby to było istotne. Przecież minister musi w końcu wiedzieć o tych wciąganych ludzi w rozmaitym wieku, obarczonych rodzinami, którzy za ogromne pieniądze wpłacają co miesiąc, albo „za rok z góry”, wynajmując jakieś kąty w cudzych domach. Mieszkają tak latami, bez zameldowania i żadnych wygód, wydając na to niemałą większość zarabianych pieniędzy. Może to jest najwycześniejszą prywatną sprawą tych ludzi? Zmuszonych do trwania w takiej sytuacji, bo nie mają dość sprytu, siły, zapobiegliwości i pieniędzy, jak ci, którzy zdobyli już jedno i drugie mieszkanie, i zbudowali domok, a mają pomniejszyć znacznie więcej, niż im potrzeba, więc najlepsza w końcu okazja, żeby je wynajmować za straszne pieniądze tym, co mieszkań nie mają?

Brak mieszkań to nie tylko sprawa rozbabranych latami budów, braku terenów, materiałów, głównie niedostatku gwoździ 7-calowych (!), topoty urzędników, ale również, albo może szczególnie — sprawa niewłaściwych przydziałów i fatalnej gospodarki mieszkaniami. Bo czy powinno się przydzielać mieszkania ludziom, którzy żyją w niezłych warunkach i mieszkają (wydane w miarę) mają, niezależnie od ich pozycji społecznej? Tajemnicą Poliszynela pozostaje fakt, że pierwszeństwa w przydziałach mieszkań nigdy nie mieli i nie mają ludzie, którzy ich naprawdę potrzebują. Podobno to jest problem, którego odpuścić już nie można i nawet się o tym nie mó-

W wspomnianym zjeździe bezdomnych ten problem umknął gdzieś bokiem. Zresztą wielu uczestników zjazdu (kilkuset przedstawicieli, wybranych przez Wojewódzkie Porozumienie Związków Zawodowych według klucza merytorycznego regionalnego) zabierało głos — w dramatycznym w końcu sprawie budownictwa — w tonie, jak by można, nazbyt optymistycznym. Przechwalało się wręcz niejednokrotnie, jak to ludzie sami organizują budowy, chcą zakładać spółdziel-

nie, tyrają, zabiegają i są pełni wiary w lepszą przyszłość. Można to tłumaczyć tym, że na sali znaleźli się ludzie w większości młodzi, którzy przybyli rozsądnie radzić, nie zaś narzekać, biadolić. Pojedyncze rozpaczliwe głosy — jak wspomnianej emerytki z Lublina — starano się zażegnać osobistą obietnicą pomocy, zadeklarowaną przez Bogdana Saara, prezesa Centralnego Związku Budownictwa Mieszkaniowego.

Ale czyż prezes może osobiście i szybko pomóc wszystkim potrzebującym mieszkań? Albo czy wszyscy bezdomni mogą sami, poza pracą zawodową, harować jeszcze latami na placach budów, zakładać spółdzielnie, organizować materiały budowlane? Absurd! Co mają począć w tej sytuacji samotne kobiety, wychowujące czasem dwoje czy troje dzieci, matki ledwie wciągające koniec z końcem i trwające w beznadziei z dnia na dzień. Na co starczą im czasem siły, to rozpaczliwy gest pozostawienia dziecka na biurku kierownika urzędu kwaterunkowego.

— To okropne, wiem — wyznaje pani Małgorzata P. z Łódzkiego — ale z rozpacy nie wiedziałam już, co mam robić, zostawiłam małego na biurku urzędników w kwaterunku, którzy nie reagują na moje podania i błagania. Ja sama wychowuję troje dzieci. Do naszego pokoiku na strychu starej kamienicy nieustannie cieknie z sufitu nawet przy niewielkim deszczu. A ja już nie czuję ręk od dźwigania węgla na górę. — Czy pani Małgorzata ma jeszcze sama budować sobie mieszkanie?

Absurdalność tej zachwalanej ostatnio w budownictwie metody „Zosi samoci” usiłował dostrzec na zjeździe przynajmniej jeden młody człowiek — monter ze Stoczni Gdańskiej, Jerzy Madej — upominając się o respektowanie w kraju prawa obywatela do własnego mieszkania:

— Metoda „zrob to sam”, czyli sami budujemy sobie domy, generalnie nie ma sensu. Nie chcę od państwa jemuż, ale też nie chcę, nie mając mieszkania, poprzez dotacje budżetowe dopłacać do czynszów czy ciepłej wody tym, którzy mają swoje „M”. Nie chcę też swoimi pieniędzmi nabijać kiesy tych, którzy dostają się na wynajmowanie mieszkań.

Ten rozsądny głos domagał się „odszukania” odpowiedzialnych za to, że prawo obywatela do własnego mieszkania nie jest respektowane. Ale czyż da się „ustalić” takie rzeczy, a jeśli nawet, czy z tego może wynikać coś pożytecznego?

Kto jest winien zaniechać w dziedzinie bezdomnictwa?

Minister dał odpowiedź jasną i zdecydowaną: winien jest stan naszej gospodarki. Tak to prawda. Jest to od lat paru jedyna odpowiedź na wszystkie niedostatki życia, niechlujstwo, wszelkie zaniechania, chamstwo i dziczenie obyczajów. Stan naszej gospodarki! Dla człowieka, który nie ma gdzie mieszkać, żadna pociecha z tego, rzecz jasna, wynikać nie może. Ale taka jest rzeczywistość. Cudu nie należy się rychło spodziewać.

Po zjeździe bezdomnych, wystąpieniach, jakie miały tam miejsce, wypisanu na dwóch tablicach wniosków oraz przeszkod blokujących rozwój budownictwa, pozostało chyba tyle, że władza podobno miała szansę zorientować się, co mówią i co proponują ludzie młodzi. Organizatorzy zjazdu (Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych) zaproponowali to, co było nawet do przewidzenia. Zapewniono, że wszystkie zgłoszone postulaty, pomysły, wnioski zostaną przeanalizowane i przekazane zainteresowanym urzędem. Czyż można było się spodziewać czegoś więcej? Oby owe urzędy miały cierpliwość i serce do zajmowania się tym wszystkim. Choć trudno naprawdę w to wierzyć. Urzędy, jak wiadomo, nie lubią spraw ludzkich. Zresztą, dlaczego niby miałyby lubić? To jest pytanie z tego samego zestawu, co owo — „dlaczego w całym kraju nie ma gwoździ 7-calowych”. No, czy ktoś wie dlaczego?

Twarze młodych ludzi, opuszczających gmach ZNP na warszawskim Powiślu, nie wyrażały nadziei. Było tam wielu przedstawicieli rodzin znajdujących się w stanie zupełnej desperacji, chcących na pewno za wszelką cenę zwrócić uwagę na swoje położenie. Czyżby wierzyli, że z takich spotkań wyłoni się klucze do własnych mieszkań?

Ewa Chodkowska

Czesław Bobrowski, w latach 1914-26 uczeń Szkoły Lubelskiej tak wspomina atmosferę panującą w lubelskim środowisku „liberalnej inteligencji” w pierwszych miesiącach po odzyskaniu niepodległości:

„Przeżywane trudności wydawały się naturalne, a przyszłość rysowała się różowo. Bodajże Juliusz Kaden Bandrowski (ukł. powiedzenie, chyba adekwatne do nastrojów „milczącej większości” w tym okresie: „radość z odzyskanego śmietnika”). Aż do lata 1920 r. atmosfera nie uległa zmianie. W środowisku, z którym się stykałem w Lublinie, koncepcja federacji nie zapuściła korzeni. Podobnie zresztą jak koncepcja uznania praw Białorusinów i Ukraińców do własnej państwowości czy do pełnego równouprawnienia w ramach państwa wielonarodowego. Lwowiakom nie podobało się współdziałanie z Petlurą, ale tuż w Lublinie nie zwracano na to uwagi. Słowem sprawy te nie były przedmiotem szerszej społecznej refleksji. W tych warunkach wyprawa kijowska nie była ani aprobowana ani potępiana, a póki trwały sukcesy, była co najmniej tolerowana. Odwrót stanowił niespodziankę, ale odbył się tak szybko, że znów nie starczyło czasu na refleksje” („Wspomnienia ze stułecia” Lublin 1985).

To nastawienie zmieniło się, gdy wojska radzieckie poczęły wkraczać na obszary etnicznie polskie (lipiec 1920 r.). Wobec bezpośredniego zagrożenia niedawno odzyskanej niepodległości (a więc tuż nie „tylko” wojny o granice i wpływy Polski na wschodzie) uświadniła się wtedy zdolność społeczeństwa do patriotycznej konsolidacji pod hasłem: „Ojczyzna w niebezpieczeństwie”. Nawet endecy, programowo nie akceptujący federalnych celów wyprawy kijowskiej Piłsudskiego, rozwinęli teraz szeroką propagandę na rzecz obrony państwa. Z początkiem lipca 1920 r. „Głos Lubelski”, organ Związku Ludowo-Narodowego zaapelował do kobiet polskich: „Nie pozwólcie, aby proci wasze przestąpił

kręgi wojskowy” (29 VIII — IX): „Otwarte platformy wloka się straszliwie, stoja godzalnami na małych stacyjkach”. Rozpoczął się mrozów losu żołnierskiego:

1/IX, Postój, nocny w Krasnymstawie, w dworcu mieścieńskim z gankiem. Spie na podłodze. Słusznie ma Rano wyruszamy w stronę Zamościa.

2/IX, Marsz po deszczu. Noc na deszczu. Spod Gubawic slychać działa.

3/IX, Marsz po deszczu. Nocuję na wozie, syczącyk uwierają mnie kantami.

4/IX, Noc pod dachem. Moeleg w Wólce Kradnieżyńskiej, w chacie na słomie. Dostałem zoid półkolowy. Dostaliśmy wieści o pogromie 4 i 24 pułku piech. przez Budionnego”.

Zapis ów może świadczyć o pamiętnikarstwie i systematyczności „Notatek...”. Kiedy bowiem Czechowicz maszerował w stronę Zamościa, kawaleria Budionnego istotnie toczyła walki w okolicach tego miasta. „Wycofana z kierunku lwowskiego i skoncentrowana w obszarze Sokala za lewym skrzydłem 12 armii rosyjskiej, konna armia Budionnego ruszyła na Zamość — Krasnystaw [...] — pisze A. Przybylski, historyk wojny polskiej 1918-1921. — Rozpocząwszy marsz 27 sierpnia, Budionny odrzucił zamykającą mu drogę w obszarze Tyszowic brygadę kubańską [walczącą po stronie polskiej — MP] i następnego dnia stanął pod Zamościem. Tu niespodzianie spotkał silny opór. [...] Budionny, jak gdyby podrażniony tym oporem, starał się go złamać za wszelką cenę, zamiast, obchodząc Zamość, przejść dalej na Krasnystaw. Tymczasem zaś rozwijał się kontrmanewr ze strony polskiej”. Ostatecznie czerwona kawaleria nie zdobyła Zamościa ani też nie poszła na Krasnystaw, gdzie stacjonował Czechowicz wraz ze swoją kompanią, ponieważ — jak dodaje Przybylski — „Budionny szukał ratunku w odwróceniu walcząc na wszystkich stronach”.

Libery

Józef Czechowicz

BYLEM i ja z tych młodzieńskich żołnierzy, co wyszedłem z domu spod słodkiej matczynej opieki, stają nagle wobec łun nęsto wickar wojny niespokojnej, obcy sobie samym. Byłem z nich i rozumiałem to dobrze. Mundur, jak wawstwa czasu, ochraniał mnie od wszystkich, co zostawiłem w rodzinnym mieście. A był to mundur zbyt obczony. Miał być strojem żołnierza Rzeczypospolitej, tymczasem okrywał siedemnaścieletnie ciało chłopca, który niewiele miał wojennego animuszu, a mniej jeszcze wytrzymałości na trudy ostrych marszów i całego marsowego mozołu.

W roku 1920 my, tacy właśnie chłopcy, od kasałek i samotnych wędrowek po parkach oderwani, dostawaliśmy do obrony Ojczyzny przeważnie karabiny starego typu francuskiego, duże i ciężkie maszyny z bagnetem odnowiednio obrzycym. Kiedy stałem w szeregu, mój karabin „przerastał” mnie nawet i bez bagnetu. Dostawaliśmy też tornistry z łaciłaci cieleci skóry, która często we mnie budziła nieokreślony żal do świata oraz chlebaki granaty ręczne zapas naboje. Z bielizną, menażkami, nawet nosami do karabinów, nie mówiąc już o łopatkach, różnie bywało. Pokrzepienia dla duszy tyle tylko mogliśmy zakosztować, że z rzadka, z okazji jakiegokolwiek przetasowania oddziałów czy oddziału na ziemię boju, przemawiał do nas któryś z dowódców.

Mundur i karabin były dla nas zbyt duże. Nie czulem się żołnierzem. Maszerowałem ku niebu czerwonym od pożarów w przeświadczeniu, że spełniam swój obowiązek. Zaciąłem się wobec ogromu spraw, które toczyły się burzą. Tak już było.

Byłem i ja z tych młodzieńskich żołnierzy, co szli do boju na smutno, co potrafili urzęd czynnym okiem kontroli przełożonych ukryć w tornistrze obok przeniesionego obciążenia mały naddatek — książeczkę. Mój naddatek był nie taki mały: towarzyszyła mi Biblia.

Pewnego wieczoru na litewsko-białoruskim froncie staliśmy w lesie. A właśnie było do bitwy i wielka gromada jeńców w oberwanach szymbach i kudłatych czapach grzała się u ognisk. Otoczeni byli strażą dość liczną ze względu na chmurne ciemności. Nie spoczęło im się do ucieczki. Siedzieliśmy wokół płonących gałęzi zamysłeni. Ten i ów nawet brał się do pieśni, ale jakoś to nie szło. Z dala widziałem tylko mur postaci tym czarniejszy, że na tie ogniska, przewany góziennedzie blaskami bagnatów straż. Podszedłszy do gromady,

Przyczynek do dziejów żołnierskich Józefa Czechowicza

Maciej Podgórski

młodzieniec, który nie spełnił obowiązku względem Ojczyzny. Chcącego przestąpić progi wasze odpędzając słowem: do szeregów”.

Młodzież szkolna, studencka i robotniczo-rzemieślnicza wstępowała i bez tego do Armii Ochotniczej, formowanej przez gen. Józefa Hallera. „W Lublinie zgłoszenia ochotników były tak liczne, iż można użyć słowa „powszechne” — pisze Bobrowski. — Szczególnie liczny był udział studenckiej i szkolnej młodzieży pochodzenia inteligentnego, jak również ziemiańskiego. Wpłynęły na to decyzje zbiorowe, środowiskowe, przecinające wszelkie wahania (sam je miałem ze względu na mój wiek — 15 lat — słaby wzrok i brak warunków fizycznych). Znaczenie mechanizmów zbiorowych uprzytomniła mi formułka „przymusowi ochotnicy”, wypowiedziana przez jednego z oficerów komisji poborowej U nas podobnie jak w innych szkołach dwie ostatnie klasy prawie w całości zgłosiły się do wojska, łącznie z uczniami uważanymi za sympatyków rewolucji (jak np. Władysław Daszewski). [...] Moja kariera wojskowa była krótka i niezbyt poważna. Nie strzelałem i nie strzelano do mnie. Po kilku dniach spędzonych w jednostce liniowej zostałem telefonista i kancelista w sztabie. Dzięki poczuciu humoru mego bezpośredniego dowódcy — późniejszego poety Jana Brzechwy — wróciłem z wojska jako starszy strzelec”.

Autor tych słów wstąpił do wojska jak się zdaje, na początku lipca 1920 r. Natomiast Józef Czechowicz, pochodzący z ubogiej rodziny robotniczej wywodzącej się ze wsi, w 1920 roku 17-letni uczeń Seminarium Nauczycielskiego w Lublinie (średniej szkoły, która nie dawała matury), stawiał się na ochotnika później, bo 8 sierpnia, ale przypadła mu „kariera wojskowa” znacznie trudniejsza.

Nieocenionym źródłem do poznania krótkich dziejów żołnierskich Czechowicza są jego lakoniczne „Notatki pamiętnikowe 1920 roku” (pierwodruk „Kamena” 1986 nr 16), które rozpoczynają się właśnie datą 8 VIII: „Zapisuję się do wojska jako ochotnik w biurze werbunku ochotniczego przy ul. Krakowskie Przedmieście 30. Potem udaje się do koszar”. Armie radzieckie znajdowały się wtedy już w granicach ówczesnego województwa lubelskiego a na froncie północnym zbliżały się forsownym marszem do linii Wisły i Warszawy...

Brak jednakowoż bezpośrednich świadectw, jakie motywy skłoniły Czechowicza do ochotniczego zaciągu. Zapewne — „wpłynęły na to decyzje zbiorowe”. Nie bez znaczenia mogła być także osobowość i przeszłość wojskowa jego starszego brata Stanisława, który — jak wspomina Bobrowski — „był prawdziwym fenomenem, zarówno gdy chodzi o dynamizm, jak i talenty wszelkiego rodzaju. To dziecko niedzi tuż w pierwszych latach gimnazjum korepetycjami pomagało matce — wdowie sprzątacze — w utrzymaniu rodziny. Potem przyszedł Legiony i Szczypiorno. Właściwie los już dawno przeszedł o jego przedwczesnej śmierci na grzązlice... Może więc kompleks starszego brata?”

W każdym razie po miesięcznym przeszkoleniu młody szeregowiec, Józef Czechowicz, wraz ze swą kompanią

Szczególne świadectwo walk pod Zamościem daje inny pisarz-żołnierz — Izaak Babel, który służył w armii konnej Budionnego jako redaktor gazety „Czerwony Kawalerzysta”:

„Dowódca dywizji i jego sztab obozowali na zbitym polu w odległości trzech wiorst od Zamościa. Żołnierzy oczekiwali nocny atak na miasto. Rozkaz dzienny żądał od nas abyśmy nocowali w Zamościu i dowódca dywizji oczekiwał meldunku o zwycięstwie”.

Padła deszcz. Nad zatopioną ziemią leciał wiatr i ciemności. Rozlany atrament chmur zagasił gwiazdy. [...]

Tuż obok, o dwa kroki od nas, leżała czolowa linia tyraliery. Widziałem dokładnie kominy Zamościa, ukradkowe światła w wawozach jego getta i wieże strażacka z rozwaloną latarnią. Wilgoty świt sływał na nas jak fale chloroformu. Nad polskim obozem wzbily się zielone rakiety. [...]

Dowódca dywizji szykował się już od odjazdu. Ordynansi stali przed nim na baczność i stojąc spał. Spieszone szwadrony czolgały się po mokrych pagórkach.

— Przycisnęł nas — szepnął dowódca dywizji i odjechał („Zamość” z cyklu „Armia Konna”, tłum. Seweryn Pollak).

Czechowicz znalazł się w Zamościu 7 IX, już po odstąpieniu Budionnego, i został przydzielony do 9 kompanii 4 pułku piechoty Legionów. 20 IX odjechał na front litewsko-białoruski. „Marsze potyczki bitwy etc. obejmują okres na tym terenie od 22/IX do 7/X 1920 roku” — zapisal lakonicznie w „Notatkach...” 8 X został „skierowany do kadry celem zwolnienia” z wojska, 18/X. Powrót do Seminarium na ławę szkolną”.

Lecz wcześniej, pod datą 15 IX, znajdował się w „Notatkach...” zastanawiający zapis: „Nie wierzę w zwycięstwo, ale uważam, że należało pójść na wojnę jak szal powstańcy 1863 roku, przed którymi również nie było zwycięstwa. Ale trzeba...”

Skąd owa mitologia nieuchronnej klęski, i to wówczas, gdy armie przeciwnika znajdowały się w defensywie na wszystkich frontach? Skąd u młodego żołnierza regularnej wojny analogie do partyzantki 1863 roku? Czyżby niecałe dwa lata niepodległości jawiły się wrażliwemu chłopcu, początkującemu poczucie, jako ulotny sen, z którego trzeba się obudzić w epoce zaborów i przegranych powstań z poczuciem patriotycznego obowiązku bezadziejnej walki? Jerzy W. Borejsza napisał w „Polityce” (1988 nr 4), że Polska międzywojenna świadomie wywodziła swoje początki z 1863 r. Piłsudskiemu udało się mówiąc jego słowami, „zbudować most między teraźniejszym pokoleniem a pokoleniem 1863 roku”. Czy cały most? Czy tak wygląda prymat mitu nad rzeczywistością?

Być może częściowa odpowiedź na te pytania znaleźć czytelnik w publikowanych obok, autobiograficznych opowiadaniach Józefa Czechowicza będących próbą literackiej rekonstrukcji tamtych przeżyć i odczuć autora: „Literary” (pierwodruk „Księga pamiątkowa na 90-lecie dziennika »Czas« Kraków 1938), „Dwa kierunki” (pierwodruk „Czas” 1939 nr 125).

Teksty opowiadań zaczerpnięte zostały z tomu prozy J. Czechowicza nt „Kofa rydzy” przygotowywanego do druku przez Wydawnictwo Lubelskie (zebrał opracował, wstępem i komentarzem bibliograficznym opatrzył Tadeusz Klak).

Dwa kierunki

W OTWARTYCH drzwiach wagonu siedzieliśmy, zwisiwszy nogi nad umykającymi spod kół podkładami. Podkłady, gdy pojeżdż szedł wolniej, migwały rytmicznie ciemnymi plamami na szafrowej smudze piaszczystego nasypu, a gdy przyspieszał bieg, zlewały się z nią w jedną ciemnozieloną wstęgę. A że kręciło się w głowie przy nazbyt długim patrzeniu w dół, podnosiłmy oczy i wówczas ociemniało je pasmo bliskiego lasu. Mroczny był, jednostajny, a rzadka poprzerywany złotem koros młodych brzoź, co świeciły w słońcu popołudnia.

Wyżej trwało niebo, piękne niebo, błękitne zinnym błękitem, nie takim jak w dniach wiosny. Szły chmury, obłoki, widma sinawe i białe, podbite od dołu mieniącą się barwą, trudną do ujęcia. Nie było to złoto, ani szkarłat, ani odcień bursztynu, tylko blask zawierający w sobie wszystko razem, promienny na obrzeżeniach wysp firmamentu, głębiąmi matowymi grający dalej, u kłębowisk strzępiastych, przechodzący w sinosć i fiolel tam, gdzie kontrasty były silne.

zostawiając twarz, przeważyła w po-
lowie czerwone od blasku, w połowie
widniejące w mroku czarna półbrzyta.
W niektórych wielkoruska łagodność
spojrzenia nie licowała z bliznami i
bandażami, w innych głębokie oczodo-
ły mongolskie wypełniał mrok, uo-
dabniając je do trupich czaszek. Jedna
twarz, jastrzębia i kozacka, wyróżnia-
ła się rycerskością rysów.

Kozak stał blisko, rozróżniłem nawet
suchy rzes opadających raz po raz na
byste oczy. Zachęciłem przez straż je-
nierz zaczął śnić.

— Papieroski wam dawaj — mówili
nas.

— Za papieroski spajom. Churazko...
Kola, tiani...

W lesie, w którym już rdzawiły się
liście, uderzyła o ciemne pane pieśń:

*Ej, ten obcy kraj, obcy kraj,
siedzieliśmy cały zasnany...
ziemi polewany,
smutkiem zagrodzony...*

Kozak nie śpiewał. Zreszta wielu
nie śpiewało. Wśród tego ludu z róż-
nych krańców świata niejedną, choć
i rad by był dostać papierosa, nie znał
tej pieśni. Niektórzy mruczyli kołysząc
się rytmicznie, wsparci ramionami.
Nie paliłem wówczas, więc miałem
pełne kieszenie papierosów, wydziela-
jących nam wraz z chlebem i innym
zaopatrzeniem. Garść ich podałem du-
mnemu kozakowi. Popatrzył na mnie,
zawahał się, lecz wziął dar, a potem
uścił mi rękę. Zrobiło mi się nija-
ko. Nie wiedziałem, na wpół dziecięcy
żołnierz, czy to wypada ochotnikowi
ściskać tę dłoń. I ja się zawahałem: i
tak samo jak on zdecydowałem się:
oddawałem uścisk. Wówczas piękna twarz
rozjaśniła się nieco w gorzkim uśmie-
chu. Kozak sięgnął do chlebaka, nim
się spostrzegłem, wcisnął mi w rękę
dużą książkę w czarnej okrawie i
zniknął w ciemnym tłumie.

Na pierwszej stronie książki odczy-
tałem napis: Pismo Święte. Było to
berlińskie wydanie przekładu Wujka
z roku 1861. Skąd miał kozak te pol-
ską książkę ani kim był — nie dowie-
działem się. Natomiast Biblia owa i
dziś mi jeszcze służy. Lepiej służyła
mi na postojach. Gdy trzeba było wy-
począć w marszu, ślaść w przydroż-
nym rowie nie zdejmując tornistra,
ona właśnie sprawiała że ciężar kara-
binu i bagnetu stawał się mniej uciąż-
liwy albo i rozplýwał się zupełnie w
dziejach Saula i Dawida, w natchnio-
nych strofach proroków izraelskich, w
prostej a rzetelnej opowieści o żywocie
Chrystusa z Nazareth.

Zapadałem w książkę jak w sen i to
była moja obrona przed rzeczywisto-
ścią, pełna porzutu odstrzałów i wy-
buchów. Grały w niebie pociśki dział,
drobne ptactwo kul ścinało galezie
nad nami, sypało cetyne i liście, a mnie
prócz tego dudniły w głowie wozy
wojenne faraona i kopcyta leżących
Gedeonowych. W oszołomieniu mijaly

mił, smocznym wypackami i *Meyan*.
Może dlatego, że mundur i całe moje
żołnierszowanie za duże były dla mnie,
pokochałem Biblię bardzo i nie trako-
wa: wszystko, co z liter.

Znów był wieczór. Skroś Niemca
strzeliła smuga, odzew dalekiego po-
żaru na drugim brzegu rzeki. Po-
miewałem tam palił się jeden budynek
i w pogodnym, bezwietrznym wieczo-
rze świecił wysokim słupem ognia,
pręga złocista na wodzie ustąpiła się
w kształcie wąziutkiego klina, co za-
czył się tam, przy kępie starodrze-
wiu, a ginał w pluskających lekkie
pontonach.

Przez most rzucony na owe pon-
tony spieszyłem i byle jak, most wąski,
z desek i bali ledwo złączonych, pro-
wadziłem się. Zadanie było nie-
ładne, bo konie bały się smugi ognia,
czarnej wody, chwiejności mostu.
Prychały, stawały nogi ostrożnie, lecz
płoszyły się byle wystrzałem. Trzeba
było posuwać kola dział rękami, e-
bracając szprychę za szprychą, a idąc
przy tym po wąziutkim skrawku de-
sek, jaki zostawał dla osób obok dro-
gi tych kół.

W górze pierwsze gwiazdy wscho-
dziły w poplątanej kracie zwałonego
mostu kolejowego.

— Ho, ho, cieś, cieś... — głosy ko-
nowodów brzmiały łagodnie, dodając
odwagi koniom.

— Prędzej, prędzej, psia wasza ne-
dział — podganiał ktoś ze starszyny,
przeciskając się obok ku przodowi.
Patrzyłem, a ja tym o sekundę wcześ-
niej przysiągłem, że prócz miejsca na
kola dział i nasze stopy nie starczy
już desek dla nikogo. Przecisnął się
nie on jeden. Jakiś łącznik przeprowi-
dzał się z powrotem na brzeg, z którego
wyruszyliśmy, jakiś oficer artylerii,
nawet dość korpulentny, pogonił za
tamtym, który żądał pośpiechu w
przeprawie. Sam nie wiem, jak to się
stało, czy owi przechodzący byli win-
ni, czy zaczęli gdzie o jaszcz albo
armatę, doś, że chlebak mój z glo-
sem razowca i Biblią spadł w czarną
wodę.

Nie można się było zatrzymać.
Drząc z wysiłku i żalu, pchałem obło-
cone szprychy kół, przekonany, że już
też książkę nie zobaczę. Stracę odczu-
łem tym boleśniej, że ona zastępowa-
ła mi przyjaciela. Jako jedyny o-
chotnik w tej kompanii, nie miałem
równieśników, zresztą byłem w tym
wieku, w którym przyjaźń między
mną, a współtowarzyszami łroni nie
mogła się rozwinąć. Ja znałem świat
tylko z ławy szkolnej i książki, oni
zaś byli rolnikami, rzemieślnikami,
ludźmi dojrzałymi. Ich rozmowy na
postojach zbliżały ich wzajem, a mnie
— jakże mi bywało smutno — od-
dalały. Bez książki byłem jeszcze
bardziej sam wśród.

W kilka dni potem leżeliśmy na
ściernisku pod laskiem, a przed nami
wznosił się w bladym słońcu ko-

ścił wójtaki, obywatelski przez li-
nie wrogów. Serie kul z karabinów
naszynowych grały bardzo nisko. To
nie lek, bo tyliśmy przecież zdecydowa-
wani na śmierć w głębi serca, to ja-
koś fizyczna siła tuliła nasze głowy
do grąd ziemi i rozdzielała uszy nad-
miernie powiększonymi okrzykami
rannych. Ci, dla których wojaczka nie
nowina, ci co z walki uczynili sobie
dział codzienny i szczytne rzemio-
sło, nie wiedzą, ile trzeba krzepy mię-
w sobie, aby od myśli o zgubionej
książce zerwać się i biec wśród kul
tam, skąd wypływają ich ogniste
strumienie. Gdy po jednym takim
„skoku” runąłem w ściganiu i przy-
pedłem twarzą do zamku karabina,
między krzykami: — Jezul Trafili
me! Matko, mamof... — spostrzegłem
ostro, wyraźnie blady bławatek i obok
niego strzęp gazety, w którym były
zapakowane dwa magazynki nabo-
li, dwie piątki. Złym byłem żołnierzem.
Odrzuciłem naboje, choć zdadne do
mego karabinu, i w bitwie, w strza-
kach i ogniu chwyciłem skrawek ga-
zety. Krakowski „Czas” sprzed trzech
miesiący w pierwszych słowach dono-
sił o odwrócenie naszych wojsk z U-
krainy. Ta mało krzepiąca lektura o-
żywiła mnie niebywale. Następnym skok
bojowy wykonałem bez ostrożności,
biegając za daleko i za długo, a po
drodze krzychałem jak w gorączce:
Wtery! litery!

Po chwili miałem przy sobie sta-
rego porucznika Wójcika, który zoru-
szyszy chore oko, powiedział:

— Czego się drzesz? Ranny jesteś?

A mnie się chciało śmiać:

— Nie wiem, panie poruczniku...

— Cholera — zaklął mój dowódca
i ruszył śpiesznym krokiem, zresztą
wcale się nie kryjąc, wzdłuż linii ty-
ralierskiej ku naszej „masyńce”.

Strzelając i repetując karabin, widzia-
łem, jak strzał tamtych urwał mu
szemyk od szpicruty, zawieszony na
prawicy. Ułożył się w brudzie za
rzedzą i naprawił uszkodzenie z ca-
łym spokojem. Dobrze mi ten widok
zoboił. Reszta boju minęła normalnie.
Do zwycięstwa odpooczywałem na
słopiach poszczerbionego kościola, a
głacek owiany oblepiony okruciami
śleba, zawsze obecny mi w kieszeni,
odkąd nie miałem chlebaka, smako-
wał mi jak widok bławatka i gazo-
ty.

Nie przeszkadzał mi nawet trup
komunisty, leżący opodal. Na grana-
towym mundurze miał ciemną plamę
tuż pod gwiazdą pięcioramienną na
lewej pierś, a usta rozchylone i peł-
ne czarnej krwi. Patrzył niewidzący-
mi oczyma w blade niebo. Siedziałem
i jadłem, lykając z trudem, jako że
jadło było za bardzo suche. Rzeczka
płynąca opodal napoiła nie tylko
mnie, ale i wielu towarzyszy. Tam, u
brzegu, również leżał zabity, a twarz
tuł do ziemi jak my nie tak dawno,
leżko że twarz tę okalała szeroka, jas-

na broda, kłopotliwa. Ten wójt,
a raczej były wójt, miał postrzał w
głowie. Niewielka ranka znaczyła się
dwoma kropkami w miejscu, w któ-
rym się włosy rozchodzą promieniste
z czubka czaszki.

Przy zabitym urządziłem pakę. W niej
strzaskane lustro odbijało wrzośnięty
okłok, ale krzywo, ale nieprawdziwie.
Spod spodu ezerniały oprawy książ-
sek. Wyjąłem jedną z nich, przy-
siadłszy na rogu paki. Wówczas, nim
zdążyłem rzucić okiem na tytuł, usły-
szałem nad sobą głos porucznika:

— Czy chcesz to zabrać? — zaga-
na była w tym pytaniu.

— Przecież to chyba nieczyje interes,
panie poruczniku.

— Cholera... — zaklął i dodał z po-
gardą: — A jeszcze ochotnik...

Nie rumieniłem się, gdy towarzysze
broni opowiadali różne ludzkie sprawy,
nie rumieniłem się wobec niego
jednego, co na wojnie zobaczył moją
na, lecz teraz wydawało mi się, że
mi krow tryśnie z policzków:

— Panie poruczniku — jęknąłem.

Odwrócił się i poszedł ku kości-
łowi, a szpicruta kołysała się na rze-
myku jak zawsze, w boju czy w cha-
cie, w marszu czy przy posiłku. Od-
wrócony, zatrzymał się, rozgniół be-
tem kryłkę ziemi, kopnął wystarżony
kucyk i powiedział:

— Twój chlebak jest u brzośnospas
Odbierz sobie...

Pomknąłem ku szosci, gdzie napra-
wiano kolo kuchni połowej. Kościół
dobroczyńca żoładków kompani drogo-
mnie egzaminował: jakie były zadki
na zgubie, co się znajdowało weso-
nątrż, o czym ta książka, czy są na
niej podpisy. Wreszcie oddał mi chle-
bak i książkę oraz „porcję żelazną”.

— Wasze. Sprawiedliwie — zawy-
rokował.

— Nie rozumiem tylko, skąd... się
wzięło u was? — zapytałem.

— Znalazłem na Niemnie. Leżał ten
chlebak pół w wodzie, a pół na le-
ce, co się o pontony zaczęła... Może
bym i nie podjął tego, co mi się
chlebaka, ale zobaczyłem, że ktoś
wypchany... A jak pokazało się, że
Biblia, to wiecei, nijało było rmacz
Pismo Święte znowu do wody... No
tak...

Porucznik Wójcik nie żyje... Czas
wojny zaciera się we wspomnieniach.
Jedno tylko coraz wyraźniej widzę
marnym byłem żołnierzem. Więcej
mnie cieszył dar kozaka, nawet strzęp
gazety, nawet bławatek na szarym
ściernisku niż zwycięstwa, w których
krąłem udział.

Byłem samotny. Nie pamiętałem
wtedy o gromadzie mego pokolenia
wojującej jak i ja w pamiętnym ro-
ku 1920, może także zakochanej
w książce, może także żyjącej w
mundurze ale tak szablonowo-patrio-
tycznie, jak to się czyta w powie-
ściach dla młodzieży. A przecież —
tu podło...

— Rozumiem.

W istocie rzeczy nie bardzo rozumie-
łem, raczej przypuszczałem, o co me
chodziło. Uważałem to jednak za rzecz
mało ważną. Tyle przecież spraw i zda-
rzeń oddziaływało na każdy nasz postę-
pek!

— Jak szybko niebo gaśnie! — zaw-
wazył Zastawski.

Stawało się ciemne, szcawie, chmury
ry nabierały ciężaru i mroku, zwiślały mo-
numentalnymi bryłami, nie podobne do
tych korwet lotnych, które przed chwilą
ją jeszcze w jasnościach coraz eze-
wieńszych żeglowały po błękitie.

— Dzieciuchy... — pokiwał głową
stary plutonowy.

Chciałem jakoś odparować ten jege-
ton, jakoś zniweczyć dystans dzielący
opiniodawcę od nas, od ocenianych tak
lrycznie. Zapytałem wreszcie:

— Panie plutonowy, a pan dlaczego
wstał do wojska?

— Też pytanie? Żeby się bić!

— Ale o co? — pytałem dalej, czar-
jąc, że nie tak pytam, jakbym pragnął
pragnąłem przecież znaleźć znak rów-
nania między sprawą Zastawskiego i
plutonowego.

— Też pytanie? O Polskę, mały.

Już tylko nad lasem paliło się wa-
skie pasemko niebiańskich łądów i
mórz. W wagonie stojąca okratowana
latarnia przyświecała graczom w was-
caby.

Dokończenie na str. 8

Za nami, w wagonie, chrapał kapral,
Calek odmawiał różaniec, Nyś i Knysz
grali w warcaby, zrobione z chleba i
cegły, inni leżeli na słomie z oczyma
utkwionymi w drugich drzwiach wago-
nu, co był otwarty na przestrzal jak
stodola jesienią. Wicek odzywał się
głosem organki: coś tam wybierał w
tonach, melodię jakąś przypominał so-
bie i tak przerywał kołyszący, mocny
łakt podróży.

Siedzieliśmy, Zastawski, ja i plutono-
wy Jawrzos, każdy inny, każdy czymś
innym zajęty, a mimo to zjednoczeni
wspaniałymi obrazami ziemi i nieba,
odwijającymi się przed oczyma z nie-
objętych kresowych obszarów.

Zastawski myślał o czymś, cichy,
przygarbiony, a oczy miał pod długimi
rzęsami czystsze niż to chłodne niebo.

Plutonowy, w owijaczach lecz bez
butów, w rozchełstanej na piersiach ko-
szuli, przysiadł na stołku trójnożnym,
ręce opuścił między kolana, a głowę
uniósł ku górze, tak ścinał wzrokiem
fantastyczne pejzaże, piętrzące się w
błękitie po to, by w następnych już
chwilach rozwiać się, rozproszyć, ni-
by płynne nadzieje człowieka.

A ja, wsparty o futrynę drzwi, pa-
trzyłem na nich obu i na tor, las, ob-
łoki.

— O czym tak dumasz? — zapyta-
łem Zastawskiego.

Ocknął się, uśmiechnął wstydliwie i
rzekł:

— Wiesz, o domu. Właściwie o pew-
nym przedmiocie w domu.

— Skąpy jesteś w objaśnieniach.

— Nie myślę — ciągnął — przypomi-

nam sobie raczej pewien przedmiot, mo-
e obraz.

— Był obraz, ale oblażł — rzucił z
głębim wagonu Wicek, tylko że nas to
nie a nic nie obchodziło. Wyczekał
chwilę, nie doczekał się żadnego efek-
tu dowcipu, więc znów wziął się do
organki.

— W sypialni miałem taki obraz, du-
ży, w ciężkiej ramie. Stary. Czy ja
wiesz, może zewnętrzny, może piętnasty
wiek. Trochę jak Benozzo Gozzoli, tro-
chę jak Gentile da Fabriano. Obraz
przedstawiał pochód rycerzy. Droga
kręta wśród skał i drzew pióropusz-
owych, pokryta była tłumem pieszych
landsknechtów i konnych bohaterów.
Ach, te konie białe, strojne w atlas i
blachy! Ci rycerze w półpancerzach,
giernkowie murzynscy z hełmami rzeź-
bionymi najprzedniejszą robotą!

Jawrzos nie słuchał, o czym mówił-
my. Słuchał czegoś, co było w nim sa-
mym, bo oczy miał martwe, a szczęką
opadła mu w dół, jak u trupa.

— I niebo było nad tym świetnym
pochodem trochę podobne do tego.
Chmury jak wyspy niebywale, zjawie-
nia, jakieś w promieniach, strzały blas-
ków...

— Czy dlatego ci się to przypomnia-
ło?

— Nie. Przez chwilę spać mi się
chciało, a ile razy jestem senny, widzę
mój pokój w Zaslawiu i ten obraz
przed sobą, na wprost łóżka. Dawniej,
gdy zasypiałem, zmęczone oczy nada-
wały ruch pochodowi malowanemu.
Konie wspinały się parskając, jak nasze,
jak z naszej stadniny, lance kołysały
się, sztandary powiewały i wtedy za-
sypiałem.

Pomyślałem, że i ja mam nad łóż-
kiem obrazek. Nie dzieło sztuki z pię-
nastego wieku, to prawda, lecz stary
obrazek jarmarczny z Ukrzyżowanym i
dwoma aniołami, a gdy w zapadł w
sen, anioły poprawiały szaty, nie wsta-
jąc z klęczek, wyrównywały faidy i
poruszały ciężkimi skrzydłami. Tylko
Ukrzyżowany nie drgnął nigdy.

Chciałem opowiedzieć przyjacielowi,
bo nie mówiłem o tym jeszcze nikomu,
ale rozległ się głos plutonowego:

— Dzieciuchy, dzieciuchy...

Umilkliśmy, bo w głosie tym była
twardość i współczucie zarazem. Bałem
się, że plutonowy powie słowa już raz
w tej podróży zasłyszane, kiedy na ja-
kieś stację szła wzdłuż poelagu nasze-
go obłąkana panienka, której rozstrze-
lano dziadka, ojca i trzech braci.

Szła w podartej sukieneczynie, w
skrzywionym na bakier kapelusiku i
zaglądała nam w oczy ze słowami:

— Na śmierć was pędzą. Na śmierć
was pędzą...

A mówiła to głosem zawziętym, jas-
nym, nie przelamanym, choć twarz
miała zalana łzami.

Wtedy Wicek krzyknął do niej:

— Fora stąd! Nie strasz!

I został kopnięty przez Knysza, z
czego wynika okropna, „na cały trans-
port” awantura. Zresztą, choć nie je-
stem tego pewny, chyba od tamtego
zdarzenia zaczęły się nieanastki między
Knyszem i Nyslem.

— Śmieszne — podjął znowu Zastaw-
ski — przypuszczam, że ów pochód ry-
cerzy odegrał niemalą rolę w moim
zaciągnięciu się do szeregów ochotni-
czej armii. Naturalne, nie jako pobud-
ka, ale...

Czy Odilo Globocnik otrul się w Karyntii?

Dokończenie ze str. 3

— Wróćmy do sprawy akcji „Reinhard”...

— Kiedy w 1941 r. zapadła w Berlinie decyzja o likwidacji fizycznej Żydów na okupowanych przez III Rzeszę i jej satelitów obszarach Europy, wówczas nieoczekiwanie Globocnik otrzymał pełnomocnictwo do koordynowania całej tej akcji. A przede wszystkim do „zabezpieczenia jej efektów ekonomicznych”. Akcji nadano kryptonim „Reinhard” — na cześć zgladzonego w Pradze przez ruch oporu Reinharda Heidricha. Globocnik utworzył w Lublinie niezwykle sprawnie działający sztab — strasliwą jednostkę policyjną do zadań specjalnych (masowe rozstrzeliwania), którą zresztą zabrał później ze sobą do Jugosławii, cztery wielkie, nadzorowane bezpośrednio przez siebie obozy natychmiastowej śmierci (Belżec, Sobibór, Treblinka, Majdanek), gdzie ogółem stracono ponad milion Żydów z Polski i innych krajów Europy. I wreszcie — olbrzymie magazyny przy ulicy Szopena w Lublinie, w których zgromadził niewyobrażalny wręcz majątek pozostały po zamordowanych Żydach: złoto, kosztowności, drogie kamienie, walutę obcą. Ale także futra, dziecięce wózki, pościel itp., itp.

— Nasuwa się w tym miejscu na myśl „sprawa Kurta Gersteina”.

— Tak. Ten kierownik „Wydziału Zdrowia” w sztabie Himmlera, który

jak twierdził po wojnie — wstąpił do SS, by zdemaskować w przyszłości zbrodnie hitlerowskie, pojawił się w 1942 r. w Lublinie. I to właśnie w rozmowie z nim Globocnik ujawnił rozmiary dokonywanej na Lubelszczyźnie zbrodni ludobójstwa. Żądał nawet od Gersteina usprawiania sposobu „szybkiego mordowania” ludzi; chodziło o użycie środków chemicznych, np. cyjankowodoru, zamiast używanych dotychczas gazów spalinowych. Z drugiej strony, Globocnik przechwalał się, że Hitler podczas rzekomego (bo nigdy tego nie potwierdzono) pobytu w Lublinie miał się przychylić do jego, Globocnika, zdania, iż wszystkim zasłużonym w akcji ostatecznej zagłady Żydów należy postawić wielkie pochwalne tablice z brązu... Globocnikowi tak „bliska” była akcja „Reinhard”, że jeszcze po przeniesieniu go do Jugosławii ingerował w sprawę lubelskie, dokańczając „sprawę żydowską”. Uznał swoją rolę w Lublinie za zakończoną dopiero po słynnej akcji „Erntefest („Dożynki”) 3 listopada 1943 r., w toku której rozstrzelano na Lubelszczyźnie jednego dnia czterdzieści dwa tysiące pozostałych tutaj jeszcze Żydów.

— Czy lubelskie podziemie nosiło się z zamiarem likwidacji Globocnika? Wszak ruch oporu miał za zadanie likwidować szczególnie groźnych dla narodu polskiego funkcjonariuszy niemieckich; dowodem, m.in. zamach na Kutschera... A jeżeli ruch oporu w Lublinie nosił się z takim zamiarem, to dlaczego nie doszło do zamachu?

— W zachowanych źródłach brak ewidentnego dowodu, że akcja taka była rozważana lub przygotowywana. Ale w relacjach składanych mi przez członków Gwardii Ludowej istnieje wersja o przygotowywanym zamachu na Globocnika, do czego — na skutek zbiegu okoliczności — jednak nie doszło. Również byli członkowie Armii Krajowej twierdzą, że rozważano możliwość otrucia Globocnika w odwiedzanej przez niego dość często restauracji „Europa” przy placu Litewskim w Lublinie. Jednakże miano się przed tym cofnąć przede wszystkim ze względu na przewidywany rozmiar represji, jakie by niechybnie dotknęły miasto i cały teren. Natomiast jest rzeczą wręcz sensacyjną, że Armia Krajowa przygotowywała zamach odwetowy na rodzinę Globocnika zamieszkałą w Wiedniu. Otóż w czasie wielkiej wspany, jaka dotknęła komórkę wywiadu AK w Berlinie, jeden z przesłuchiwanym zeznał podczas tortur, że poprzez swoich ludzi w Wiedniu ustalili miejsce zamieszkania najbliższej rodziny Globocnika i że przygotowania do zamachu na życie tej rodziny były już daleko zaawansowane. Drastyczny jest ten zamiar, bo prawda, ale wojna jest naprawdę okrutnym czasem.

— Poraz na koniec na pytanie o najnowsze dokumenty mające jakoby wyjaśniać ostatecznie sprawę i okoliczności śmierci Odilo Globocnika.

— Zaczniemy od tego, że po wojnie alianści, ale szczególnie Polska, gorliwie poszukiwały tego niezwykłego

zbrodniarza. Powstały wówczas różne wersje jego śmierci. W tym poglądy, że zginął z ręki jugosłowiańskich partyzantów. Albo w więzieniu jugosłowiańskim, tuż po zakończonych działaniach wojennych. Jeszcze inni uważali, że zdołał on uratować się i schronić prawdopodobnie w Ameryce Południowej. Sprawa ta gnębiła i mnie. Dopiero niedawno, dzięki prokuratorowi amerykańskiemu Peterowi Blackowi, uzyskałem odbiór kserograficzną aktę zgonu Odilo Globocnika. Dokument to wskazuje wielce osobliwy i wymaga jeszcze dokładnej egzegezy. Chodzi o to, iż jest to de facto oświadczenie napisane w 1947 r. przez oficera angielskiego pułku huzarów, który stwierdza, że w maju 1945 r., pełniąc służbę okupacyjną na terenach Karyntii (obecnie część Austrii), podczas przechowywania nad ranem terenu lasu, położonego nad jednym z jezior, znalazł w napotkanym szalasiu ukrywającego się tam osobnika, który miał przy sobie dokumenty na nazwisko Odilo Globocnik. Osobnika owego aresztowano i zatrzymano w areszcie pułkowym. Tej samej nocy — jak oświadcza ów angielski oficer — Globocnik popełnił samobójstwo, zżywszy truciznę (co stwierdził wojskowy lekarz), którą miał prawdopodobnie przy sobie. Tożsamość zmarłego — po obejrzeniu zwłok — mieli stwierdzić podlegli przedtem Globocnikowi wyżsi dowódcy SS i policji, których wcześniej już pochwyliły wojska angielskie i przetrzymywały w tym samym areszcie... Czy wobec tego sprawa Globocnika jest zamknięta? Czy osobnik, który popełnił samobójstwo w angielskim wojskowym areszcie, był, istotnie, Odilo Globocnikiem?

Rozmawiał: Miroslaw Derecki

Dwa kierunki

Dokończenie ze str. 1

— Ale od czego to się zaczęło? Kiedy pan o tym pierwszy raz pomyślał?

— Ach, tedy ci wiedli, to tak i gadaj od razu. A to było, dzieciuchy moje — jeszcze raz zginął nas z uśmiechem tymi „dzieciuchami” — to było tak. Wyrosłem we wsi, a w tej wsi to były i ruskie chłopcy, i nasze. I jeszcze trochę kolonistów, olendrów. Przeżywalimy się z małymi i wieczna wojna między nami się kłólowała. Pastuchy nasze kłęły tamtych Iwaśków, Andrejów i Hansów, a oni nam na złość śpiewali po polsku:

Pod Niewioszem, pod wiatrakiem,
tam się Polak bił,
jod kietbasę, wodkę pił,
po zupach się krył...

Jak poznałem, że to wykpiła śpiewka, zapytałem ojca, kiedy się tak Polacy bili i powieści mi, że w powstaniu. A chodził u nas po wsi dziad Tydrych, co z Sybiru przyszedł. Po przonym laził, bez ręki był, chudziak wielki. Przed samą wojną mu się zmarło i nie miał go nawet kto pochować. Chleb mu dawałem i biłem się o niego, bo wołał za nim: Głupi, co zwojował! Wołał i ruscy chłopcy. I bez oka — to był dla mnie znak, że nie wazy się po żyłach kryli, że wielu i prosto na kule szło. Choć ten dziad nierad o powstaniu mówił, bo i pamięci na starość nie miał, ja wiedziałem swoje. No, pewno, nie przez dziada poszedłem do Legionów, ale, wiecie, zawsze to jakoś... — tu plutonowy umilkł, zaplątawszy się w objaśnieniach

Zawsze tak bywało. O konkretnych zdarzeniach i rzeczach wykład miał jasny, wzorowy; gdy tylko o komentarz chodziło, brnął w zawiloci językowie nie do rozplątania i najczęściej urywał mowę, gdy ta chwila nadchodziła.

Nie przywykliśmy do takiej szcerości, szczer. Toteż patrzyliśmy obaj z Zastawskim na gibką postać starucha, teraz, bez munduru, przywodzącą na myśl tych zasuszonych chłopów, co o przedwiośniu chodzą po miedzach, rozplanowując sobie sprawy gospodarskie nie na rok, ale na lat kilka, choć sześć-

dziesiątka za pasem. Wielu takich widuje się pod rodzinnym moim Lublinem, pod Kazimierzem, Puławami, nad rozlewem szarej Wisły. Z kosturkami w dłoniach wędrują, nierzadko kapelusze słomiane mają na plecach i czuprynę podciętą, ledwie, ledwie-siwiejącą. Czasem tak dziadziusię podejmię z roli kamuszek, jakby był chłopackiem, pasturkiem...

Zapachniała mi ziemia rodzinna, matczyzna i ojcowa. Opuściliśmy oczy z plutonowego, z wygasłego nieba, z czarnej linii boru, co wciąż jeszcze biegła wzdłuż horyzontu to bliżej, to dalej. Utkwiłem wzrok w smudze nasypu, co mknęła pod nogami, zasłuchany w turkot kół:

— Na front! Na front! Na front!

II

— Dojeżdżamy — Jarzyk szarpnął mnie za ramię.

Ale pomylił się, bo to, co brał za światła miasta, było garstką lamp cukrowni stojącej w polach ciemnych, pełnych wichru i listopada.

Wagon trzeciej klasy, latarnia z nierówno topniejącą świecą, czarne poblaski w szybach, głowy ogołone, głowy z wargami otwartymi, sennie, rybnie, straszne. To nasz powrót. Oczyma rozpalonymi przez oczekiwanie i beznamiętność wpatrywałem się w mrok. Za oknami niewyraźnie migotały kontury zarośli, drzew odartych z liści, choin, co chwiałały gałęziami jak szlandarami nocy.

Ssało coś pod sercem i radość powrotu mniejsza była, niż to się dawniej marzyło.

— Cieszysz się? — właśnie zapytał Jarzyk.

— Tak Cieszę się — odpowiedziałem objętnie.

— Coś mi się zdaje, że nie bardzo.

— Nie? Dlaczego...

I naprawdę, nie miałem powodu, by się nie cieszyć. Wracałem cały i zdrowy do domu, do książek, do ulic rodzinnego miasta, którego słoneczność, procesje, kościoły, zaułki parki i przedmieścia lubiłem tak bardzo. A przecież nie mogłem wykrzesać z siebie tego, co gnało mnie na każdym postoju w polu do pisania listów, które poczta polowa przekazywała moim bliskim.

Jarzyk spojrział po otaczających nas żołnierzach. Spali ciężko. Z polki zwieszała się lewa noga Drobniakowskiego (prawa widniała poprzez siatkę, grubą, białą od bandazy). On sam zakrył twarz przed blaskiem latarni rękawami płaszczka, wystrzępionymi i lśnącymi od brudu. Wszyscy byliśmy w tachmanach, bo odjeżdżając z frontu oddaliśmy pozostałym tam kolegom, co kto miał całego i przyzwolonego. Po co nasz mundur? Trzeba tylko wytrwać

jakoś te trzy czy cztery dni na stacji zbrojnej i — do cywila.

Na ławce naprzeciw nas śpią: Urman z III plutonu i Franek — jakżeż mu na nazwisko? — ordynans dowódcy kompanii. Urman położył mu głowę na kolanach. Braterstwo. A dookoła jeszcze kilka znanych twarzy. Są i nieznanne, z innych kompanii, z innych batalionów. Wszyscy jedziemy do domów.

Zastukały kółka pociągu na jakimś mostku kolejowym i Jarzyk znów się ocknął:

— Pamiętasz kwiatek Nysia?

— A czy wiesz, że Biblię wiozę ze sobą?

— Biblię?

— Tak, tę od bolszewika.

— Teraz słowo „bolszewik” już nie będzie dla nas znaczyło.

— No...

— Będę się uczył. Ale jak? Myślę, że ze stronik książek patrzeć będą na mnie twarze zabitych. Knysz...

Zabici — nie można zapomnieć — zabici — usta pełne krwi, oczy zasypiane kurzem marszu, ręce przebite kulami, stygmatyczne, tułowia podarte. Teraz rozświetlają się okna wagonu uspiionych, bowiem księżyc wychodzi nad pola. Jest jeszcze nisko, ciemny, czerwony, wojenny. Koło miedziane, malejące wśród gwiazd bardzo niskich. Bania magiczna — to ona puste serce ssie.

Pokolenie wracające z placu bojów śpi, wagon niesie nas pod kulą ognistą i jest w tym coś z symbolów niedomówionych, coś z fantazji cofającej się przed granicą. Jarzyk i ja nie śpimy, to jednak nic nie znaczy, bo w sobie, wewnątrz, tacy sami jesteśmy jak ci, których zamknięte powieki przypominają świeże drewno raczej niż ciało. Praca w stolarni zakończona — może tylko zawieszona. Wióry, heblowiny, kloce białe, co przeszły przez pilę, to my, siedemnastoletni.

Radość, że wracamy — mała radość. Pewność, że trzeba było na tamtych polach paść i biec, i strzelać — twarda pewność: trzeba!

Na włosnę czytaliśmy w klasie „Irydion”. Cały czas myślę o tym, że czytałem go i czułem poezję, ale teraz już nigdy karty książki nie będą dla mnie tak świeże, tak piękne...

— Czas naprawi wszystko...

— Nie, maly. Ja już nigdy nie będę miał znowu siedemnastu lat.

— Otóż ta.

Siedemnaście lat, osiemnaście lat. Jeżeli sny niezapomnienia stał się wywodzą, jeśli tym właśnie są wzmocniane, że już nigdy tych lat nie będzie? I nie będzie. Kto tak myśli jak my, już daje dowód, że wiek dziecięcy minął bezpowrotnie.

Iskry z lokomotywy wionęły i stały się w atmosferze nocy przeobrażenie: wiecha dymu białego układała się na niebie jak olbrzym, a olbrzym ten miał stopy w bursztynowych skrach. Z dzieciństwa, z czasu, gdy jeszcze nie umiał czytać, a już to imię Irydion słyszałem, wyobrażałem sobie, że jest on wiecznie żyjącym olbrzymem z głową w chmurach, z nogami w ogniu. Imię samo tętniło ogromem.

On nad pociągłem.

Księżyc maleje, księżyc biednie, już tylko lekką różańścią świeci.

Lampy sypią się na okno zrazu rzadkie, potem gęstsze, jak deszcze molorów. Naprawdę dojeżdżamy.

— Lublin! — woła Jarzyk w poświecie.

W wagonie ruch. Zrywają się, przeciągają, poprawiają płaszczki, szukają plecaków. Raz jeszcze w uszy bije znany brzęk menażek, chrząst rzemieńni, brzęk sprzączek u pasów.

Wracamy.

Całek, Knysz, Nyś, Gołowski, Kurys nie zobaczają tych murów, pochłonęła ich ziemia inna i czas inny.

Widzę, bez radości, w jakimś rozpadzie wewnętrznym, widzę zębaty szarych masywów domostw, kościołów, wież. Niejasno we mnie. Nic nie śpiewa.

I wagon w milczeniu pogrążony. Nie liczą się przecież te drobne głosy:

— Te, to mój pas!

— Jasiu, nie widziałeś mojego chlebaka?

— Psiakość, owijacz mi się drze...

Majestatyczna sylweta miasta przesuwa się po widnokręgu. Poznaje wszystkie w czystej, smutnej nocy. Tam Trynitarska wieża, tam czworogran wieży kościelnej panien wizytek, tam błyszczący zegar Bramy Krakowskiej, majaczy topór na grubej baszcie Zamku. W rzędach dachów kryją się ulice i place zawierające powrót dzieciństwa, a chyba także i późniejszy wiek męski.

Miesiące frontu zostaną w życiu jak bliźni i tylko tyle, Ojciec nasz, który jest w niebie...

Tak idą moje myśli, bo widzę, że Urman kłęk na ławce i żegna się.

— Lublin, Lublin! — wołają kolejarze.

Wychodzimy. Gromada szybko przybiera kształt zwartej kolumny i skierowuje się ku drewnianym plotom stacji zbrojnej.

Na boczny torze dyszą zapomniane parowóz. Bez Irydiona. Inny, obok, wygasty i zimny, wypukłą tarczę czołową wynał pod blask księżycy.

Co za noc!

Józef Cichoń

MELOMAN, usłyszawszy słowo „bolero”, natychmiast kojarzy je z nazwiskiem Ravel. A przecież istnieje wiele podobnych, by ten osiemnastowieczny hiszpański taniec ludowy, za którego twórcę uchodzą tancerz Zerezo, był znany z twórczości Webera, Méhula, Aubera, Berlioz czy wreszcie Chopina. Sam Ravel zresztą zdziwiony był nieco popularnością swego dzieła, powstałego na zamówienie Idy Rubinstein — solistki Baletów Rosyjskich Diaghilewa, a później założycielki zespołu mającego swoje sezony w Operze Paryskiej.

Tam też w 1928 roku zaaranżowano wnętrze hiszpańskiej oberży, w której na stole rozpoczyna taniec młoda dziewczyna. Z początku nikt nie zwraca na nią uwagi. Po chwili jednak, kiedy ruchy emanują sugestywną siłą, obecni w oberży goście zwracają się ku niej, jeden z patrzących wskazuje nawet na stół, by dotrzymać jej towarzystwa. W końcu szła tańca o garnia wszystkich.

Z pozoru prosty utwór — zbudowany na 16-taktowym temacie melodycznym, powtarzanym niezmiennie 18 razy w jednakowej tonacji, na tle stałego akompaniamentu na bębnie baskijskim — mógł, według Ravela, istnieć tylko wraz z obrazem. Nie dowierając koncertowym realizacjom, określił go jako „15 minut orkiestry bez muzyki”. Jose Bruyr w biografii pt. „Maurycy Ravel” wspomina o takim również wypowiedzianym zdaniu: „Gdy pomyśl raz został znaleziony, to byle jakim uczniowi z konserwatorium powinno się udać równie dobrze jak mnie”. Powstał ten jeden z najsłynniejszych kompozycji opisał między innymi Gustaw Samazeuil w „Revue Musicale”: „Rozkoszowałem się widokiem Ravela w żółtym szlafroku i szkarłatnej myce, przegrywającego mi temat Bolera przed poranną kąpielą. Mówił mi wtedy: »Pani Rubinstein prosi mnie o balet. Czy nie sądzi pan, że ten temat jest naderzywy? Spróbuję powtarzać go wielokrotnie, bez żadnego rozwinięcia, stopniując moją orkiestrę jak tylko potrafię najlepiej«.

Igor Strawński powiedział raz o Ravelu: „W końcu to tylko szwajcarski zegarmistrz”, wyrażając przy tym nader rozpowszechnioną i z gruntu fałszywą opinię o chłodzie i niewrażliwej emocjonalnej tego kompozytora. Równie bezzasadne jest przeciwstawi-

nie go w tej materii Debussy'emu. Trudno mi oprzeć się pokusie czysto... statystycznej: w całej swej twórczości, Bościowo przecież obszerniejszej, Debussy użył zaledwie „expressif” 49 razy, zaś Ravel aż 70. Pragnę także przypomnieć własne słowa Ravela: „Trochę śmieszna cecha mojego charakteru to uczuciowość. Jestem typem z gatunku romantyków”.

„Nie dajmy się zwieść wstydlivosti i fasadzie wspaniałego rzemiosła, bo za nią kryje się gorące serce” — nie mogłam oprzeć się zacytowaniu o pinii Michała Wesolowskiego, pianisty stale zamieszkałego w Szwecji, prze-

instrumentów dętych staje się dla muzyków problemem nie do rozwiązania, szczególnie w partiach solowych. Żadna orkiestra symfoniczna nie ma na etacie saksofonistów, tak, że w przypadku takiej potrzeby angażowani są oni dodatkowo”.

Niestety, rzeczywiście nie słyszałam w Polsce takiego wykonania Bolera, które mogłoby wprawić słuchaczy w zbiorową histerię, co miało miejsce w tamtych latach, kiedy dzieło zaczęło odnosić sukcesy na estradach filharmonicznych. Po upływie roku od premiery paryskiej wygasły prawa Idy Rubinstein do wyłączności wykonania u-

Kreć, się kreć Bolero

szczepiającego na tamtejszy grunt udane zamierzenia artystyczne. Wspólnie ze swym kolegą Jerzym Godziszewskim „odkryli” Ravela. Pierwsza próba grania dzieła kompozytora miała miejsce przeszło 25 lat temu. Obchodzono wtedy 25 rocznicę jego śmierci. Potem była setna rocznica urodzin i pianiści dołączyli do repertuaru kilka odnalezionych utworów, które wtedy wydano. Należy do nich Serenada Groteskowa, skomponowana przez osiemnastoletniego chłopca, i utwór Frontispice, napisany na cztery ręce, w którym potrzebna jest piąta. Jest coś w tej muzyce: „Mimo olbrzymich problemów technicznych, przed jakimi staje pianista — mówi M. Wesolowski — szczególnie jej nastrój daje wiele przyjemności. Na szczęście kompozytor nie został do końca »rozgryziony«, mało wiemy o jego życiu osobistym i to pozwala uruchomić wyobraźnię nieograniczenie”.

Antoni Wit, pod którego dyrekcją Wielka Orkiestra Symfoniczna PRiTV w Katowicach wykonała większość dzieł Ravela na festiwalu monograficznym w Poznaniu, wyraził taką opinię: „Fascynuje mnie ekspresja muzyki Ravela. Nie ma wątpliwości, że jest on jednym z najwybitniejszych kompozytorów XX wieku. W swoich utworach stosuje specyficzne instrumentarium, dodając dziełom oryginalnego kolorytu. Proszę zauważyć częstą obecność harfy, smyczków ze skomplikowanymi flażoletami, mnogość instrumentów perkusyjnych. Ale jednocześnie stanowi to wszystko dodatkową trudność. Wyeksponowanie, na przykład,

tworu i wtedy zaczął się jego triumfalny pochód przez świat. W końcu sam kompozytor poddał się i nagrał swój utwór na płytę, z paryską Orchestre Lamoureux. Niebawem uznano go powszechnie za jedno z arcydzieł symfonicznych. Podobno nie zdarzyło się, by Bolero nie było bisowane.

W 1932 roku niespełna sześćdziesięcioletni kompozytor snuje liczne projekty: chce stworzyć wielkie dzieło liryczne o Joannie d'Arc, feerie „Morgiane” według historii o Ali Babie, utwór symfoniczny oparty na „Moim przyjacielu Meaulnes”, oratorium według „Kwiatków św. Franciszka z Asyżu”, lecz... pojawia się choroba, określona przez lekarzy jako apraksja (niezdolność do wykonywania celowych czynności ruchowych). Pewnego dnia Helena Jourdan-Morhange, przyjaciółka Ravela, zastaje go w Montfort, o partego o balustradę balkonu. Na pytanie — co robi?, Ravel odpowiada: — Czekam. Mimo następnych czterech lat bardzo spokojnego życia zdobywa się na jeszcze jeden wysiłek. Dzięki pomocy Idy Rubinstein odbywa bajkową podróż po Hiszpanii i Maroku. Nie pisze już niczego mimo zachowania jasności umysłu. Ostatnią próbą ratunku może być tylko operacja. Niestety, nie udaje się. Rankiem 28 grudnia 1937 r. Maurice Ravel umiera i pochowany zostaje obok swoich rodziców na cmentarzu Levallois.

Na zakończenie chciałabym przytoczyć fragment artykułu, jaki powstał dla miesięcznika „Muzyka” na 50-lecie urodzin wielkiego francuskiego twórcy. Najbardziej znamienne jest to, że



Maurice Ravel
Repr. Przemysław Ostrzyżek

wyszedł on spod pióra innego znakomitego artysty Karola Szymanowskiego, żyjącego w tych samych czasach i zmarłego (nomen omen!) w tym samym roku. Któż mógłby dokonać pełniejszej i szlachetniejszej oceny? — „Myślę, iż taką jest właśnie swoista głębia francuskiej sztuki w największych i najtrudniejszych jej przejawach, zarówno w poezji, plastyce, jak i w muzyce. Przejawia się ona nie w zbożnej intencji tworzenia wielkiego dzieła, zakrojonego na miarę tej lub owej, niezręcznej obcej sztucej — a zawiera się już niejako sama w sobie — w samym fakcie doskonałości danego dzieła, w radosnym poczuciu jego samodzielnego organicznego bytowania ponad zmiennym nurtem życiowej rzeczywistości, poza sferą bezpośredniego przeżycia, zawiłej gry uczuć i namiętności. Przejrzystą tę głębię posiada w najwyższym stopniu sztuka M. Ravela. Czy tworzy on Rapsodię Hiszpańską, Pieśni Greckie, czy wiedeńskie niemal walce (La Valse) pozostaje on zawsze jednym z najbardziej fascynujących przedstawicieli geniuszu swej rasy. Skupia w sobie wszystkie zasadnicze elementy tej najpiękniejszej być może kultury świata”.

Irena Filus

Co z tym Oddziałem?

NIEDAWNO rozmawiałem z Wojciechem Luczajem-Pogorzelskim, gitarzystą, kompozytorem i liderem Oddziału Zamkniętego. Po gorąco przyjętym koncercie Wojtek był tak podekscytowany, że nie miałem żadnych kłopotów z namówieniem go na rozmowę o obecnych poczynaniach grupy. Oto zapis rozmowy, która odbywała się na zapleczu hali sportowej.

— Plotki na temat Oddziału Zamkniętego są zatrważające. Niektórzy położyli już na was krzyżyk...

— To na szczęście tylko pogłoski. Grupa w dalszym ciągu działa i, powiem więcej, ma się dobrze.

— Spróbujmy może cofnąć się nieco w czasie. W chwili rejestracji drugiej płyty „Reda nocą” byliście kapelą z charakterem. Krytycy co prawda sarkali na wasze, momentami ostre teksty, ale mieliście komplety na koncertach. Dlaczego to nagle runęło?

— Powodów jest co najmniej kilka. W okresie, o którym wspominaasz, był z nami jeszcze Krzysiek Jaryczewski — wokalista, autor tekstów i współzałożyciel zespołu, mający ogromną renomę u nastolatków. W pewnym momencie zdecydował się nas opuścić. Musieliśmy go zastąpić Robertem Janowskim z dawnego ZOO, ale to już nie był tamten Oddział. Po rezygnacji Janowskiego, która nastąpiła tuż przed wydaniem singla Tonpressu z piosenkami „Koniec” i „Opóźniony do Edeonu”, zaczęło się nam walić na głowę wiele problemów. Właściwie można było je przewidzieć, bo część muzyków inaczej widziała przyszłość zespołu. Tak więc po Janowskim odeszli wkrótce basista Marcin Ciempel (dziś Fotones), gitarzysta Krzysztof Zawadzka (obecnie Ex-Denc) i nowy perkusista Jacek Gola (grający teraz w Lady Pank).

— Czy rozstanie z kolegami załamało cię?
— Bynajmniej, jakkolwiek poczułem się głupio. Wiedziałem jednak, że spadł na mnie obowiązek utrzymania kapeli przy życiu. Szukałem długo odpowiednich współpracowników, ale nie na próżno. Mam wreszcie skład, który gwarantuje stałość na dłuższy czas. Dodam: skład optymalny.

— Kogo zatem udało się pozyskać?
— Na drugiej gitarze gra Marcin Otaqbeki

„Samba”, były muzyk Mechu i Sekcji Zwłok. Gitara basowa pozostaje w rękach ex-współpracownika Martyny — Roberta Jaszewskiego. Natomiast solistę i bębniarza wzięłem wprost z ulicy. Obaj jednak gwarantują dobrą formę, czego dowodem koncerty. Za perkusją zasiada Jacek Binder, a śpiewa Zbigniew Biernak.

— Powiedz, co z „Jarym”, bo mówiło się o możliwości jego powrotu do Oddziału?
— Tak, istniała taka alternatywa, lecz w tej chwili mało realna. Krzysiek naderwał sobie



poważnie struny głosowe, a potem poddał się operacji usunięcia polipa gardła. Śpiewać on już raczej nie będzie. Pisz za to dla nas teksty.

— Krytykowano was kiedyś za kompleks Rolling Stonesów. Czy w dalszym ciągu jest to hasło aktualne?

— Zdecydowanie nie. Repertuar, jaki przygotowałem do tekstów Biernaka i Jaryczewskiego, nie ma związku z żadną zachodnią kapelą. Jestem pewien, że się spodoba fanom i nikt nam nie zarzuci, że kogoś powielamy.

— Określ może bliżej charakter waszej muzyki.

— Jest to coś świeżego w stosunku do poprzedniego brzmienia. Gramy bardziej ostro, ruczkowo. Muzyka jest gesta, bogata w rozmaite nutanse aranżacyjne, z całą pewnością ekspresyjna. Nie sądzę, by ktoś mógł na naszych koncertach drzemać. Tym bardziej, że sekcję mamy teraz wyborną.

— Jak wyglądają wasze trasy koncertowe?

— Zrobiliśmy ich niewiele, bo dużo czasu zajęło nam przygotowanie programu. Teraz występujemy wspólnie z heavy-metalową grupą Fatum. Chcemy sprawdzić materiał przed nagraniem go na płytę.

— Kiedy rozpoczynacie sesję?

— Niebawem. Nagrywać będziemy w prywatnym studiu Rafała Paczkowskiego, gdzie powstał między innymi krążek Grzegorza Ciechowskiego „Obywatel G.C.”. Rafał i wspomagający go Marceł Latoszek mają mnóstwo znakomych pomysłów realizacyjnych, więc może i nam uda się coś skorzystać. Płyta ma się nazywać „Co na to ludzie”, a zawierać będzie oprócz kompozycji tytułowej także „Domy schadzek”, „Zrób coś”, „Demolator”, „Totalny wstrząs”, „Zostań tu”, „Jugol” i „Wojny”. Może ciebie to zdziwi, lecz ja wierzę w powodzenie tego krążka, choć go jeszcze nie nagrałem. Mam go bowiem wyreżyserowany w najdrobniejszych szczegółach.

— Czekamy na pierwsze tytuły w radiu. Kiedy mogą się one pojawić na antenie?

— Myślę, że najszybciej w kwietniu. W tym czasie zajęc będziemy przygotowaniem następnej płyty, na i oczywiście koncertami.

— Życzę wam zatem powodzenia w realizacji planów.

Rozmawiał: Istvan Grabowski

Seks w odwrocie

TABLICA honorowa, umieszczona na zewnętrznej ścianie słynnego w San Francisco klubu nocnego „Condor”, przypomina, że to właśnie tutaj tancerka Carol Doda sprowokowała amerykański szal topless, zdejmując po raz pierwszy biustonosz 19 czerwca 1964 roku. A jednak, nieco powyżej, naga kobieta na gigantycznej neonowej reklamie nosi teraz gorset — widomy znak niedawnej transformacji tego miejsca ze strip-teaserni w fin-de-sièclowy bar, oferujący klientom dziewczyny odziane w stroje z epoki kankana. Podobne zmiany ogarniają także sąsiedztwo „Condora”. Liczba klubów topless w North Beach — dzielnicy rozrywki dla dorosłych — stopniała ostatnio do czterech. W odniesieniu do końca lat sześćdziesiątych, kiedy to poszukiwacze erotyki mogli wybierać spośród dwudziestu podobnych przybytków (łącznie z salonem topless do czyszczenia butów), zmiany zaszyły daleko.

Ostatnio cała masa wielkomięjskich oaz rozpasania sprawia smutne i przynębiające wrażenie. Ale kiepsko idący interes to jedynie wstęp zagrożenia dla handlarzy seksem. Nad całą sprawą zawisło bowiem widmo całkowitej eksterminacji. Ministerstwo Sprawiedliwości USA zamierza dokonać masowego ataku na miejskie centra zła, takie jak — Combat Zone w Bostonie, The Block w Baltimore czy Times Square w Nowym Jorku. W najbliższym czasie połączone siły federalne, stanowe i lokalne mają ruszyć do natarcia, stawiając sobie za cel zamknięcie każdego sex czy porno-shopu w okolicy. Inkwizytorzy wyposażeni są w cały ogromny arsenał przepisów prawnych, od ustaw o nieobyczajności, narkotykach, prostytucji, hazardzie i alkoholu poczynając, a na przepisach dotyczących zdrowia publicznego, pracy i emigracji kończąc. „Podobne instytucje — mówi William Weld, szef Departamentu Sprawiedliwości policji krymi-

nalnej — gwałcą najczęściej wszystkie przepisy kodeksu karnego. Naszym celem jest całkowita likwidacja tego businessu”.

Tak czy inaczej, już sama eksplozja nowych środków audiowizualnych zaciśka bezlitośnie pętlę na szyi rekinów porno. Największe zagrożenie czyha przy tym ze strony sprzętu video, którego posiadacze mogą wypożyczyć na każdym rogu ulicy frywolną kasę za niewielką opłatą. Według niedawnych szacunków, ponad dwadzieścia milionów Amerykanów ogląda co tydzień przynajmniej jeden film porno z kasety video. Takie rozmiały konkurencji skurczyły bez wątpienia klientelę kin z filmami pornograficznymi tak, że ich liczba spadła w ostatnich pięciu latach z ośmiuset do czterystu. Inspektor policji z Bostonu, John Gillespie, zauważa: „Niewielu ludzi pragnie już chodzić do Combat Zone i wyrzucać dolary na oglądanie czegoś, co mogą obejrzeć sobie wygodnie w domowym zaciszu”.

Obszarom jarmarcznego handlu zaczęły także coraz bardziej zagrażać wielkie zamierzenia urbanizacyjne. Spełne od handlu nieruchomości zaczęły dostrzegać w niegustowych kłitkach dzielnicy seksu przyszłe lukratywne działki budowlane. W Bostonie na przykład, gdzie władze same stworzyły w 1974 roku Combat Zone, chcąc w ten sposób wrzucić wszystkie śmierdzące jajka do jednego koszyka, boom inwestycyjny wytworzył całkiem nową sytuację. W ostatnim półroczu siedemnaście spośród dwudziestu dwóch erotycznych klubów zniknęło z krajobrazu miasta, ponieważ ich właściciele zauważyli, że sprzedawanie ciała nie jest nawet w połowie tak zyskowne jak sprzedawanie domów. „To, co się dzieje obecnie w tej dzielnicy — żartuje adwokat Morris Goldings — ma więcej wspólnego z Marksem niż z Freudem”.

Podobne zjawiska dadzą się zaobserwować w Pittsburgu, Baltimore czy Waszyngtonie (gdzie ujawnienie pla-

nów nowego zagospodarowania przemysłowego naraziło firmę budowlaną na anonimowe groźby aktów terroru). Nawet Times Square, nieoficjalna stolica rozpusty USA, przewidziana jest pod oczyszczające działanie buldożerów. Nowy plan urbanizacyjny, zakrojony na dwa i pół miliarda dolarów, przemieni zachodnie obrzeża 42. Ulicy w kompleks nowoczesnych biur, sklepów i restauracji. Aby nie wygasły wszakże legendarne światła dzielnicy, dziewięć spośród najbardziej obścienicznych pałaców seksu przekształci się w legalne pałace sztuki.

Inne społeczności miejskie, zwłaszcza na Południu, opłują za tradycyjnymi „nolatami” policji. Po dziesięciu latach systematycznych aresztowań i nakładania gigantycznych grzywien na świat seksu, Atlanta zyskała ogólnokrajową opinię miasta, „które wypełniło pornografią”. Ale w dziedzinie antypornograficznej aktywności żadne władze lokalne nie mogą konkurować z burmistrzem Louisville. Handlarze seksem tak opanowali swego czasu komercyjne centrum miasta, że usta-

wiczne skargi od co bardziej powściągliwych mieszkańców sprośowały burmistrza Abramsona do podjęcia energicznych działań. Przed dwoma laty zespół firm handlowych zajmujących czterdziestopiętrowy budynek, wynajmowany także na apartamenty mieszkalne, zwrócił się do władz miejskich z prośbą o wyznaczenie terenów pod budowę garaży dla lokatorów i pracowników. Burmistrz Abramson podchwycił szansę Natychmiast zamknął główną siedzibę handlu pornoografią i przeznaczył ją na budynek administracji, rozpoczynając jednocześnie wykupywanie okolicznych działek i limitowanie aktów dzierzawnych. Działania te, wespół z zarządzeniem zakazującym strip-teasów w barach, doprowadziło do likwidacji ponad dwudziestu przybytków rozrywki dla erotomanów. „Dzielnica pornografii przestała istnieć” — stwierdził asystent burmistrza, Phil Lynch.

Obrońcy publicznej moralności, znajdują bez wątpienia wsparcie we wzmiarkowanej na wstępie akcji Ministerstwa Sprawiedliwości. Ale baronowie handlu seksem nie pozostają bezczynni. W Nowym Orleanie właściciel ciągu sklepów z wydawnictwami i filmami porno zagroził ujawnieniem listy lokalnych prominentów, zaliczających się w poczet jego klienteli. Jest wśród nich kilku oświeceni, którzy zostawiali w sklepie swoje służbowe numery telefonów, by personel informował ich o szczególnie cennych nabytkach przeznaczonych do wypożyczenia. To bez wątpienia straszne, ale kilka czerwonych ze wstydu twarzy stanowi nadal niewielką cenę za uwożenie społeczeństwa od erotycznego śmiecia.

Według tygodnika „Newsweek” nr 5/88 opracował W. H.

PS. I ze swoimi filmami „z pogranicza” znów byłbyśmy „pięćdziesiąt lat za Murzynami”, gdyby nie fakt, że tenże „Newsweek” na tej samej stronie pisze o eksplozji seksu w telewizji francuskiej. Co kraj, więc, to obyczaj i amerykańskie porządki niekoniecznie muszą oznaczać początek nowej rewolucji w obyczajach. Dla „klubów Erosa” niech zatem nadal świeci złocone światło. Na zdrowie!



Smutny fronton słynnego niegdyś Pałacu Seksu. Fot. „Newsweek” 1988 wr 5.

Repr. Przemysław Ostrzyżek

pani libijskiej, kiedy to żołnierze australijscy i żołnierze Brygady Strzelców Karpaccich generała Kopańskiego walczyli obok siebie w Tobruku, pod El Alamein i pod Gazelą. Obydwa wojska łączyła bojowość, zadziorność i... umiłowanie trunków mocniejszych niż woda. Oraz niezachwiane przywiązanie — co podkreśla w swych wspomnieniach: „Wojna, ludzie i medycyna” dr Adam Majewski — podczas bójek i burz z żołnierzami angielskimi, z których to zwarć połączone sły polsko-australijskie zazwyczaj wychodziły zwycięsko. Nie przeto dziwnego, że po zakończeniu wojny „australijscy członkowie „Związku Szczurów Tobruku” zaprosili wszystkich swoich polskich towarzyszy broni do Australii, gdzie zołowili się zapewnić im pobyt i pracę. I wielu Polaków istotnie z tego zaproszenia skorzystało.

Bardzo możliwe, że jednym z owych polskich żołnierzy był ojciec pewnej bardzo przystojnej i pociągającej młodej australijskiej aktorki, Lindy Kozłowski, która gra główną rolę kobiecą w rozbijającej ogromną furorę w wielu krajach świata, przygodowej komedii — „Krokodyl Dundee”. To właśnie jasnowłosa, wysportowana i seksowna Linda jest owym atrakcyjnym „polskim akcentem” zabawnego „Krokodyla”.

„Krokodyl Dundee” stał się w kinach zachodnich jednym z poważnych konkurentów dla takiej „lokomotywy”, jak „Gliniarz z Beverly Hills 2” (z ezarnoskorym, pełnym humoru, Eddie Murphym, oraz ex-małąnką Sylvestra Stallone, długonogą Brigitte Nielsen). Co więcej — zostanie wkrótce wprowadzony na ekrany kin radzieckich, a to wszak gigantyczna widowiska. Zakupiła także „Krokodyla Dundee” Bulgaria. Wprowadzony ostatnio na polskie ekrany, cieszy się ogromnym powodzeniem. I to przecież nie tylko z uwagi na fakt, że Linda Kozłowski jest z pochodzenia naszą rodaczką.

Głównym atutem „Krokodyla Dundee” jest przede wszystkim — poza humorem — doskonale pomyślana przygodowa fabuła, wtopiona w atrakcyjnie pokazany przez reżysera i operatora, niezwykły pejzaż. A dopełniają całości bardzo dobrze zagrane postaci głównych bohaterów: wszędobylskiej amerykańskiej reporterki Sue oraz australijskiego myśliwego, łowcy krokodyli, prostego, lecz pełnego godności, no i oczywiście męskiego uroku, wychowanego przez aborygenów — Michaela Dundee, noszącego przydomek „Krokodyl”. Postać „Krokodyla” kreuje Paul Hogan,

który zresztą wraz ze swym synem napisał scenariusz tego filmu.

Jest niewątpliwie w jakiejś mierze „Krokodyl Dundee” dalekim odbiciem tematyki i „problematyki” filmów o Tarzanie. Nie chodzi tu tyle o motywy „człowieka dzungli”, prowadzącego wśród licznych niebezpieczeństw przypadkowo poznana wybrankę serca. Nie tylko o konfrontację dwóch płci. Ale przede wszystkim — dwóch diametralnie różnych światów: australijskiego i amerykańskiego. Dwóch pejzaży — autentycznej dzungli australijskiej i miejskiej „dzungli” nowojorskiej.

Komediowość „Krokodyla Dundee” polega w swym głównym założeniu na znanej doskonale zasadzie — odwrócenia sytuacji. Połowa filmu dzieje się wśród australijskich preri, lasów oraz błot, gdzie czyhają na swój łup krokodyły gotowe pożreć nieostrożnego wędrowca (i tutaj ofiarą zabawnych zdarzeń jest nieporadna, przybyła z cywilizowanego świata, reporterka Sue). Druga połowa — w Nowym Jorku, dokąd Sue zaprasza „silnego człowieka z dzungli”. I gdzie, z kolei, on czuje się mały, zagubiony i nierzadko śmieszny, a ona jest teraz jego przewodnikiem i opiekunem.

Ta podstawowa komediowa konstrukcja opleciona jest jednak jeszcze całymi girlandami doskonałych gagów, „odzywek” i dowcipów sytuacyjnych; choć nie zawsze grzeszących finezyjnością. Czasem to humor rubaszny, czasem — na ostatecznej granicy dopuszczalności. Trochę tak jak za czasów pierwszych, przeznaczonych dla bardzo szerokiej publiczności, niemych komedii Macka Senneta. No, ale cóż — „On jest z Australii!” — jak próbuje wytłumaczyć Sue (przed pewną starszą damą z nowojorskiego towarzystwa) swego zbyt obcesowo zachowującego się partnera.

Nie można zakończyć tego felietonu bez zwrócenia uwagi na jeszcze jeden aspekt tematu: „krokodyl, a sprawa polska”. Oto nareszcie, po z górą stu pięćdziesięciu latach od napisania przez Aleksandra hr. Fredrę znanej i tak lubianej przez Polaków komedii „Zemsta”, ziszcilo się prądawne marzenie polskich pańienek, odzwierciedlone w pamiętnych słowach pięknej Klary do „walecznego” Papkina: „Jeśli nie chcesz mojej zguby — krokodyla daj mi lubyl!” Sue, czyli Linda Kozłowski, otrzymuje swego „Krokodyla”. I takim oto — świąjącym w historię polskiej literatury — happy endem kończy się australijski „Krokodyl Dundee”.

M. D.

PS. Tymczasem trwają już zdjęcia do „Krokodyla nr 2”. Również z udziałem Lindy Kozłowski i Paula Hogana.



Horoskop Stelli

Dobrej zabawy!

23 października — 21 listopada



ON: Jesteś energiczny, masz wiele wartościowych pomysłów, ale często nie starcza ci zapału, aby je realizować. Brak konsekwencji w postępowaniu to twoja podstawowa wada. Potrafisz jednak bronić swoich poglądów, niezależnie od takiej czy innej kon-

struktury, może dlatego masz więcej wrogów niż przyjaciół. Do dóbr materialnych nie przykładasz większej wagi; nie cierpisz iluzów i ludzi, którzy próbują się wywyższać. Wśród zwierzchników masz opinię niezrównoważonego, może dlatego, że oficjalnie mówisz to, co o nich myślisz, stąd od czasu do czasu wpadasz w tarapaty. Nie zmieniaj swej natury, więc i w tym roku bądź taki, jaki jesteś. A ten rok zapowiada się dość interesująco, zwłaszcza pod względem finansowym. Uważaj na przypadkowe znajomości z kobietami. Zwykle traktujesz je z góry, ale jesienią możesz trafić na taką, która cię zbytnio zaabsorbuje. Pamiętaj, że żonę masz bardzo zazdrosną, umie walczyć o swoje prawa. Raczej nie ty, ale owa „wybranka” będzie miała kłopoty!

ONA: Lubisz znieść partnerów, uważasz, że mężczyźni powinni ci służyć. Dobrze się czujesz w ich towarzystwie, ale w gruncie rzeczy wybierasz tych, nad którymi górujesz intelektem. W małżeńskim śladzie lubisz przewodzić, ale nie rozliczaj męża z każdego grosza, bo stwarzasz zupełnie niepotrzebne konflikty. On i tak siedzi u siebie pod panoflem, ale ta sytuacja zaczyna mu już ciążyć, zwłaszcza że inni radzą mu, by wykazał większą samodzielność. W pracy ten rok będzie podobny do poprzedniego. Jeśli zaproponują ci awans, zastanów się, bo możesz na nim stracić finansowo.

• Szczęśliwe liczby to 18, 19, 36, 39, 41 i dalsza.
• Dobre miesiące: sierpień i wrzesień.

22 listopada — 20 grudnia



ON: Ambicje masz dość wygórowane, zbytnio starasz się wywyższać nad innymi. Prawda, że masz duże zdolności, natura nie poskąpiła ci inteligencji, ale wielu uważa cię za sobka. Nie chodzi o to, abyś szedł na niepotrzebne kompromisy, ale żyjesz

wśród ludzi, a są przecież tacy, którzy rzeczywiście cię cenią. Szczególnie tych właśnie nie powinien sobie zrażać. Twoje postępowanie powoduje, że omijają cię awanse, koronnym argumentem jest stwierdzenie, że zbyt arbitralnie narzucaj swoje poglądy i trudno z tobą dyskutować. To wszystko odbija się również na twoim życiu rodzinnym, bo żona ma cię chwilami po prostu dosyć. Ze skokami w bok nieco przyhamowałaś, ostatnie doświadczenie czegoś cię nauczyło, chociaż chyba nie tylko to spowodowało, że się nieco ustakowałaś. W pracy możesz mieć w tym roku poważniejsze kłopoty, bo jeśli w twojej firmie dojdzie do zmiany kierownictwa nie będziesz umiał się dostosować do nowej sytuacji. Dlatego musisz bardzo panować nad sobą i tym razem szukać — choć to jest sprzeczne z twoją naturą — mądrych sojuszników.

ONA: Żonę jesteś nad wyraz wierna, choć mąż nie zawsze umie to docenić. Łatwo znajdujesz wspólny język z innymi, choć trudno ci o przyjaciół. W głębi serca wykazujesz dużo nieufności wobec ludzi, ale jeśli kogoś już lubisz, to nie masz wobec niego (lub niej) żadnych tajemnic. Niepotrzebnie emocjonujesz się plotkami, a niekiedy nawet je kolportujesz. Byłoby dobrze, gdybyś potrafiła być bardziej zamknięta w sobie. W sumie dasz się jednak lubić, zwłaszcza w towarzystwie potrafisz promieniować dowcipem. Ten rok będzie bardziej pracowity niż poprzedni. Zarobisz znacznie więcej, ale przy twoich potrzebach i postępującej inflacji dalej będziesz korzystał z pożyczek.

• Szczęśliwe liczby to parzyste od 22 a także 3 i 17.

21 grudnia — 20 stycznia



ON: Sparzyłeś się już dostatecznie na ludziach, czas liczyć przede wszystkim na siebie. Te alkoholowe libacje z (jak sądziłeś) przyjaciółmi przyniosły ci więcej złego niż dobrego, zwłaszcza że zbytnio obgadałeś swych wpływowych bliźnich, którzy

są aż nadto pamiętliwi. Nadszedł czas, abyś poważnie zastanowił się nad sobą, nawet nad tym, czy nie zmienić miejsca pracy, otoczenia, (a może nawet i miasta) i zacząć wszystko od nowa, zupełnie inaczej niż dotąd. Decyzja zapewne trudna, ale w konsekwencji może ci ona wyjść na zdrowie. W dotychczasowej pracy trudno ci liczyć na awans; pozadzierałaś z niektórymi kolegami, na ich poparcie trudno więc liczyć. Rodzina stanowi dla ciebie bardzo dobre oparcie, żona jest tolerancyjna, wybaczyla ci wiele, ale nie nudź jej tak swoimi problemami. Pójdź za tobą wszędzie, bo ciągle cię kocha, chociaż niekiedy sprawia wrażenie, że jest inaczej. Nie wierzysz jej w tym wypadku, i robisz słusznie.

ONA: Jesteś cierpliwa ponad miarę. Cały dom na twojej głowie, częsta nieobecność męża, który bierze dodatkowe prace, aby jakoś związać koniec z końcem, że wpływa na twoją psychikę. Wiesz, że nie może być inaczej, przynajmniej teraz, ale trudno ci się z tym pogodzić. Nie dajesz tego po sobie poznać, a może byłoby lepiej, gdybyś potrafiła się wyzalić? Spalasz się wewnątrz! Skutkiem tego możesz odczuć już w najbliższej przyszłości. W pracy stosunki układają ci się dobrze, bo nie należysz do ludzi konfliktowych, wszyscy cię lubią i poważają, choć są i tacy, którzy zazdroszczą ci dobrego samopoczucia. Nie wiedzą, że gnębi cię wiele problemów; nie wiedzą, bo nie należysz do tych, którzy lubią się zbytnio zwierzać. Przydałby ci się dłuższy urlop, ale koniecznie w gronie całej rodziny!

• Szczęśliwe liczby: 4, 12, 16, 22, 40, raczej parzyste niż nieparzyste.

Krzyżówka nr 4 z szyfrem

Pozłomo: A. ozdoba sufitowa ■ wyrazistość obrazu ■ moc noża ■ niewidomy, C. do robienia galarety ■ drobna zabawa, D. budowniczy pleców ■ wylot dymu ■ stamtąd samowary, E. państwo amerykańskie ■ owad, F. rozdział Koranu ■ pomocniczy podręcznik nawigacji ■ miasto na Śląsku koło Rybnika, G. pieśń pochwalna ■ skandynawska stolica, H. ziarna na napój ■ materiał wybuchowy ■ klująca roślina, I. podziemne lody służące przetrzymaniu zimy ■ pokrywa naczyni kuchennych, J. grafoman, który wszedł do historii literatury ■ na głowie panny młodej ■ kojarzy małżeństwa, K. odległość między dźwiękami ■ rzadkie sito, M. muzułmańska warowna rezydencja w Hiszpanii ■ strofa ■ owoc południowy.

Pionowo: 1. mityczny bardzo bogaty monarcha ■ klacz, 3. pisarz polski, autor „Kamieniowych tablic”, 4. raj ■ Jagiellonka, 6. uroczysty wiersz ■ powierzchnia ziemi ■ okres dziejowy, 8. instytucja edytorska, 10. wyjący padlinożerca ■ garniearska wieś pod Rejowcem, 12. stolica europejska ■ opłata za przewóz towarów przez granicę ■ pora roku, 14. zwierzę hodowlane ■ styczniowy solenizant, 16. komediopisarz grecki, 18. patronowała mu Ananka ■ konserwa z małych rybek ■ powieść Tyrmanda, 20. układ ■ kierownica statku, 21. prawo osobiste do dzieła sztuki lub naukowego, 23. górna warga niektórych ssaków ■ matka Achillesa.

SZYFR
A1. D11. J1. K3. C4. D20. C21 / I15. C6 / M10 / F20. M18. H13. I18. D3 / L12. L14. F10. E18. A13 / F13. A19. L23. E7. G16 / E23. K19. B14. H2. C3. K4. K16 / C19. K9. E9. M4. C9. D13. A4 / M17. B23. F2. B6. G8. I7. A15.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowe za 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2 Z SZYFREM
Pozłomo: przekonanie, chemigrafia, Lada, nonkonformizm, wiec, katorta, kasztan, kuźnica, kom-

pania, Kreml, Apostata, drobina, traktor, żeglarz, busz, ekspresjonizm, myto, konglomerat, bezczynność.

Pionowo: pałak, dotyk, tempo, Erato, Brzeg, naginanie, Anna, las, Este, ikona, rurka, seria, Efez, kosz, temat, harfa, Opole, maik, car, piec, mauzoleum, akwen, Ilman, Itawa, akcja, złość.

Szyfr
Normalność jest łagodniejszą nad odchłanią anomalności.
Witold Gombrowicz
Ferydydurke

Nagrodę wylosowała Ewa Ulatowska, ul. Bazarowa 88 m. 4, 71-614 Szczecin.

OGŁOSZENIA

Angielski — tłumacz przysięgły, 71-85-41.

2063/G

Najszerszy wachlarz usług poleca biuro matrymonialne „Arkadia” 90-980 Łódź box 204.

823/K

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
A				E	O																		
B				D	D																		
C				Z	E	L	A	T	Y	N	A												
D	Z	D	U	N																			
E				K				G															
F				R				R															
G				O				U															
H	K	A	W	A				N															
I				S				T															
J				K	A																		
K				I	N	T	E	R	W	A	K												
L				N				R															
M	A	L	H	A	M	A																	

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzega sobie prawo skrótów.
Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. EKWN w Lublinie ul. Unicka 4.
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jazna 4 tel. 255-30

Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Świdowskiej 2/L.

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 246-02, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 238-35. Korespondencje prosimy kierować pod adresem:

20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 260, 3.02.1988 r. A-4